Nr. 1. Lwów dnia 3. Lutego 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 złr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr.
w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr.—kwartalnie 1 tal. 8 sgr.
we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcya: Plac kapitulny Nr. 7.

ŚWIT

Główna ajencya na W. Ks. Poznańskie w księgarni J. K. Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w „*Świcie*“ wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych.
Listy niefrankowane nie przyjmują się.

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Treść: Tryumf proletaryuszów, przez *A. Mickiewicza* z wstępem *Agatona Gillera.* — Wyrocznia, przez *Adama Pajgerta* (wiersz). — Kalejdoskop, obrazy czasów i ludzi, przez *Berlicza Sasa.* — Goethe i Descartes, studyum przez dr. *A. Zgórskiego.* — Radziwiłł w gościnie, anegdota dramatyczna w 3 aktach, przez *J. I. Kraszewskiego.* — Przegląd literacki. — Korespondencye: z Krakowa. — Przegląd teatralny, przez *Bronisława Zawadzkiego.* — Przegląd muzyczny — Wiadomosci naukowe, literackie i artystyczne.

Od redakcyi

W pismie naszem biorą udział: **Michal Balucki, dr. Adam Belcikowski, Berlicz Sas, K. S. Bodzantowicz, Agaton Giller, J. I. Kraszewski. Wladyslaw hr. Koziebrodzki, dr. Ludwik Kubala, dr. Karol Libelt, Julian Ochorowicz, Adam Pajgert, Mieczyslaw Pawlikowski, Tadeusz Romanowicz, dr. Gustaw Roszkowski, doc. pr., Władysław Sabowski, dr. Tomasz Stanecki, Juliusz Starkel, Henryk Szmitt, Łucyan Tatomir, Kornel Ujejski, Paulina z L. Wilkońska** i inni.

Lwów, dnia 1. Lutego 1872.

TRYUMF PROLETARYUSZÓW

przez

Adama Mickiewicza;

podal i wstępem objaśnil

Agaton Giller.

Najwyższe podniesienie ducha, które obdarza człowieka jasnem widzeniem prawd ciemnych dla pospolitego umysłu i wypadków, do jakich zwykł doprowadzać loiczny tychże prawd rozwoj, nie przeczuwany przez rozumy materyalizmem ogarnięte, przyzwyczailiśmy się za tuzinkowymi krytykami nazywać „chorobliwym mistycyzmem.“ Nic fałszywszego nad rozumienie rzeczy tą nazwą oznaczanej. Bywają wprawdzie mistycyzmy chorobliwe, jak bywa wiara fałszywą,—ale ażeby każdy mistycyzm był oznaką choroby duszy, na to zgodzić się nie możemy.

Mistycyzm, czyli owo najwyższe, do jasnowidzenia przyszłości doprowadzające podniesienie ducha, jest właściwością głębokiej, rzeczywistej wiary. W czyjem sercu mieści się wiara, w takiem ma swe siedlisko i mistycyzm. Gdzie go niema, tam naprózno szukalibyśmy wiary. Mistycyzm jest więc konieczną skłonnością duszy i przymiotem wiary. Tworzy on świat fikcyjny przesądów i zabobonów, jeżeli rozum wierzącego jest niewykształcony. Udziela jednak zdolności przeczuwania lub jasnowidzenia prawd i tajemnic stworzenia, jeżeli duch wierzącego jest potęgą samowiedną, siłą wyrobioną i mocą rozumną. Taki był mistycyzm Mickiewicza, o którym mówiąc krytycy dzieł wielkiego poety, wzruszają z żalu i ze zdziwienia ramionami.

A przecież, jeżeli wszyscy przyznają wiarę za szczególną właściwość geniuszu Adama, dziwić się nie powinni jego mistycyzmowi z wiary zrodzonemu. Umysł Mickiewicza widząc zawsze i wszędzie harmonię świata nadzmysłowego ze zmysłowym, łatwo ogarniał ogół moralnych zjawisk dla zwyczajnych rozumów niedostępny i ztąd wszystko co powiedział i co napisał jest tak głębokie, jak owa mistyczna harmonia i tak prawdziwe, jak całość wszystkich zjawisk. Wiara więc i jej wysoki, mistyczny kierunek, zasługuje na uznanie i zarazem na poszanowanie jako władza, co z naszego poety zrobiła wieszcza i proroka czasów.

Praca pana Łucyana Siemieńskiego „o religijności i mistyce“ Mickiewicza chociaż oskarzana o uboczne cele poparcia ultramontanizmu powaga wielkiego poety, jest waznem studium ułatwiającem zrozumienie natchnień poety. W wierze i w patryotyzmie wskazuje rzeczywiste ich źródło. Dwie te potęgi nie przedstawiają się atoli z owego studium w całej swej szerokości i mocy. Ortodoxyjność pana Siemieńskiego stanęła mu na przeszkodzie do wszechstronnego zbadania tych potęg. Wskazał je tylko, ale nie oznaczył rozwoju i zmian, które stanowią wewnętrzne dzieje tej wielkiej duszy, ztąd też napróżnobyśmy szukali w jego pracy dokładnego scharakteryzowania mistyki Mickiewicza.

Zanim się kto znajdzie, co zdolnym się okaże do napisania zupełnej, na znajomości życia i duszy opartej monografii o Mickiewiczu, potrzeba tymczasem zebrać nie tylko wiadomości i spostrzeżenia od towarzyszów i przyjaciół poety, ale także poznać wynurzenia się i wylewy jego serca w listach i pismach, które do druku nie były przeznaczone. Syn poety, p. Władysław Mickiewicz, wydaje obecnie w Paryżu „Korespondencye“ swojego ojca. Jest to zbiór listów, pisanych do różnych osób, które stanowią drogocenny materyał do pracy, o jakiej mówimy. Prócz listów pozostały atoli jeszcze różne drobne

NA OKAZ.

pisma i artykuły, które są urywkami z prac obszerniejszych a niedokończonych, a które zapewne ogłosi także, z chwalebną troskliwością zbierający po zmarłym ojcu wszystkie pamiątki Władysław Mickiewicz.

Oceniając jak należy zamiar syna, wydania wszystkich pamiątek po ojcu, przyjdziemy mu w pomoc, ogłaszając dwa ustępy dotąd niedrukowane, które posiadamy od p. Aleksandra Chodźki, najlepszego i najbliższego przyjaciela Adama i jego następcy na katedrze w *Collège de France*.

Było to zeszłego roku w Paryżu zostającym pod panowaniem proletaryatu. Z jednej jego strony stali Prusacy, niegdyś wazalowie Polski a dzisiaj pogromiciele Francji i pierwszorzędna potęga świata, z drugiej strony Wersalczycy ciskali bomby na zbuntowany pod Komuną Paryż. Odgłos strzałów i bębnów mięszał się z sobą i wtórował dziką muzyką wypadkom, których ważność przerażała najbardziej leniwe umysły.

Byłem w odwiedzinach u zacnego przyjaciela Mickiewicza na ulicy Vaugirard. Rozmawialiśmy o nieszczęśliwej wojnie pruskiej i o nieszczęśliwszej, trwającej jeszcze wojnie domowej pomiędzy republikanami i proletaryuszami. P. Aleksander Chodźko, przytaczając charakterystyczniejsze szczegóły tych niespodziewanych i nieprzeczuwanych przez nikogo wypadków, przypomniał sobie, iż posiada pismo Mickiewicza w którym wieszcz nasz przewidział upadek Francyi, potęgę militarną Prus i demagogiczną zawieruchę. Były to dwa przez p. Chodźkę trzydzieści kilka lat temu przepisane z francuzkiego rękopisy Mickiewicza, rozdziały obszerniejszej pracy, którą Adam zaczął pisać w Dreźnie 1831 roku, zaraz po upadku powstania polskiego.

Mickiewicz przeniesiony myślą w późniejsze czasy, podobnie jak znaną Gazetę Szawelską, pisał jakby historyę przyszłych czasów, charakterystykę zamięszań i burz, jakie poprzedzić mają utrwalenie konfederacyi republikańskiej w Europie, a która to charakterystyka zdawała się wskazywać wypadki, na jakie właśnie patrzyliśmy.

Mówiliśmy, że w roku 1831 Mickiewicz przewidział dzisiejsze militarne znaczenie Prus. Król pruski przedstawiał się mu jako naczelny wódz armii niemieckiej a królowie saski i bawarski jako podkomendni mu jenerałowie. Francyę widział zniszczoną, rozdzieraną przez proletaryat szukający pomocy od konfederatów za Renem, proletaryat, który pojęcie równości posunął do skasowania nazwisk i imion, jako cech arystokratycznych; widział dalej Europę całą wzburzoną przez kosmopolityczną rewolucyę skonfederowanych ludów, walczącą ze starym, monarchicznym światem pod wodzą Prus. Pod Berlinem opisał bitwę, którą tam mają stoczyć rewolucya z monarchią. W bitwie zwyciężyła rewolucya. Co potem będzie?....... tu przerwał Mickiewicz opis swego jasnowidzenia, które najwidoczniej zamierzał umieścić w dziele, jakie przedsięwziął dla Francuzów napisać. Zamiaru później zaniechał, a w lat kilka potem, mówiąc o nim z przybyłym z Persyi Aleksandrem Chodźką, udzielił mu do przepisania owe dwa rozdziały, które przechowały się u szan. profesora aż dotąd.

Kto się dobrze wczyta w owe rozdziały, które niżej w tłumaczeniu p. Jana Amborskiego podajemy, tego uderzy przedewszystkiem charakter proroczy tego pisma. Nie jedyne to proroctwo Mickiewicza. Pominąwszy przepowiedziane w jego poetycznych pismach wskrzeszenie Polski, wiadome są liczne jego przepowiednie, które się już ziściły. Rodzina zmarłego króla Westfalskiego Hieronima posiada list pisany przez Adama w r. 1847, w którym przepowiadając rewolucyę lutową w Paryżu r. 1848, wzywał Bonapartych do czujności i przygotowania się, albowiem po wypędzeniu Ludwika Filipa zostaną powołani do władzy.

Zebranie w jedną całość faktów jasnowidzenia, świadczących o nadzwyczajnej potędze wiary Mickiewicza, przedstawiłoby autora Dziadów ze strony ciekawej a mało znanej u obszerniejszej publiczności. Dwa ustępy, które mi wręczył p. Aleksander Chodźko z upoważnieniem do ich ogłoszenia, będą przyczynkiem do tego zbioru. Ogłaszam je pod tytułem „Tryumf Proletaryuszów,“ bo ten tytuł znajduję wypisany ręką p. Chodźki na rękopismie.

I.

Łatwo się domyślić powodów, dla których nie możemy ogłosić szczegółowej historyi zamieszek, jakie poprzedzą utrwalenie rzeczypospolitej we Francyi. Niech nam wolno atoli będzie przytoczyć kilka okresów zamykających pierwszą księgę naszego rękopismu.

Nikt się nie był spodziewał, żeby rewolucya mogła być czysto militarną w kraju, w którym wyrodziło się tyle teoryj rzędu racyonalnego, głęboko obmyślanych i długo rozbieranych. Opinia powszechna domagała się postępu wolnego i regularnego. Była ona więc odurzoną i zbłąkaną przez wywrot nagły i tak nieprzygotowany. *)

Wywrot podobny jednak był naturalnym a nawet potrzebnym. Oddawna instytucye społeczne istniały we Francyi tylko pozornie i na zewnątrz, niemając żadnej wewnętrznej podstawy. Religia już nie odpowiadała potrzebom ludzi cywilizowanych, t. j. ludzi bogatych i potężnych, którzy przewodniczyli ruchom mass. Królewskość używana przez czas jakiś za środek przeciwko wdzieraniu się czerni, zdawała się nakoniec zużytą i zbyteczną w czasach pokoju. Bogactwa i resztki przepychu poczynały zadrażniać dumę narodową. Prawa i postanowienia władzy prawodawczej były lżone i znienawidzone jako rozkazy despotyzmu. Sądy straciły wszelkie prawo do szacunku ludowego; sądziły one bowiem według martwej litery lub według instrukcyj władzy politycznej, nie mogąc już odwoływać się ani do Boga, którego zaprzeczały, ani do sumienia, o którem już zapomniały.

Wśród takiego moralnego bezładu jedna tylko instytucya mogła ocalić swe istnienie, instytucya czysto materyalna: była to armia. Posiadała ona jedyny środek, jaki pozostawał wówczas do nakazania dla siebie szacunku — miała siłę brutalną.

Postęp gwałtowny Henryka V. obudził nadzieję stronnictwa legitymistycznego. Ale nieszczęśliwe to stronnictwo, przyzwyczajone od tak dawna do porażek, w powodzeniu nie umiało zachować miary, przebaczało ono nieprzyjaciołom swoim ale nie przestawało gnieść ich swoją pogardą. Traktowało dumnie swoich przyjaciół politycznych i objawiało silne dążności ku formom starego rządu. Potrzeba jednak spokoju tak dalece zawładnęła Francuzami, obawa przewrotów przyszłych tak w nich była wielka, że gotowi byli znosić panowanie a nawet i wzgardę jedynego we Francyi stronnictwa, które zachowało jeszcze niejaką godność moralną i jakąś wiarę w własne zasady. Jednej tylko rzeczy domagała się energicznie Francya od każdego, kto podejmował się nią rządzić, mianowicie utrzymania godności narodowej.

Lud, mający świadomość swej siły i materyalnych środków, czuł się powołanym do oddziaływania jakimkolwiek sposobem na Europę. Przeczuwał on, że się tak

*) Prosimy ciągle uważać na to, że Mickiewicz unosząc się w przyszłość, przedstawia fakta przezeń spodziewane jako już spełnione. (Przyp. red.)

wyraźny, swoją wokacyę, ale nie znachodził nikogo ktoby jej dopełnił.

Legityniści, uciśnieni przez czas długi i przymuszeni do odpierania siły brutalnej swych przeciwników bronią rozumowania i kombinacyami wyborczemi i dyplomatycznemi, nabyli w tej walce wiele zręczności, ale stracili zupełnie zdolność działania. Gwałtowni i pełni nienawiści, jak wszyscy teoretycy, nie śmieli używać gwałtu, bo się nie czuli dosyć silnymi. Z postępowania ich jednak widzieć można było, że oczekiwali tylko sposobności, aby okazać całą swoją dumę i nienawiść. Wiadomo, że przez czas długi opierali całą nadzieję swego stronnictwa na pomocy obcych monarchów i pomimo że ta nadzieja tylokrotnie i tak srogo zawiedzioną była, zwracali jeszcze, rzekłbyś ze zwyczaju, ku północy swoje spojrzenia. Nie dość tego, rozszerzając zadanie legitymistyczne i zastosowując je do wszystkich ludów i do wszystkich krajów, chcieli przywrócić Sułtana do posiadania Grecyi i Egiptu, oddać Cesarzowi Moskwy zbuntowaną Finlandyę i dostarczyć Prusakom pomocy do zniszczenia resztek Polski. Na każdym tronie widzieli oni Bourbona a w każdem powstaniu zbrojnem objawy jakobinizmu i rewolucyi francuzkiej. Nakoniec poświęcali tej wyłącznej myśli politycznej sprawę swej religii i zasady swej kasty. Ponieważ zaś stawali niegdyś po stronie Sułtana, który mordował zbuntowanych chrześcian, ponieważ później przyklaskiwali zacietości monarchicznej chłopów hiszpańskich wyrzynających szlachtę i wychwalali sprawiedliwość cara, który kazał wywozić księży, kobiety i dzieci, stanowczo więc okazali, że mieli jedno tylko uczucie polityczne: uczucie obawy rewolucyj, i jeden dogmat: panowanie Bourbonów.

Te zamiary szalone i przeciwne wszelkim tradycyom Francyi, wywołały na nowo fermentowanie wszystkich uspionych nienawiści. Spostrzeżono wkrótce w massach niejasne pragnienie zrzucenia jarzma, ale nie wiedziano, jak do tego przystąpić. Stronnictwo filipistów już nie istniało, republikanie zaś nie mieli ani sił materyalnych, ani przywódzców, ani wspólnych dogmatów. Ich dziecinne deklaracye, ich groźby, ich ciągłe odwoływanie się do wspomnień 1793 roku, uczyniły ich nienawistnymi a następnie śmiesznymi. Przyzwyczajono się uważać ich za retorów dumnych i bezsilnych. Co się zaś tycze bonapartystów, nie przypuszczano nawet ich istnienia.

A rzecz dziwna, imię cesarza grzmiało wszędzie, w izbach, w teatrach i w chatach wieśniaczych. Samo to imię budziło sympatye ludu i zagranicy, a nie przewidywano, żeby takie imię mogło jeszcze oddziaływać na masy. Co szczególnie pomagało sprawie napoleonidów, to ta okoliczność, że cała ich rodzina była na wygnaniu. Niemiano bowiem sposobności spotwarzać ich, depopularyzować i tym sposobem zachowali oni aureolę dawnej swej chwały. Imię jednego z nich spadło jak piorun na Francyę, właśnie w chwili, w której ten kraj obszerny nie miał ani jednego imienia równie świetnego, albo przynajmniej równie szanowanego. To imię posłużyło za sztandar wszelkiej nienawiści i wszelkiej nadziei!!"

. . . .

(C. d. n.)

WYROCZNIA.

(Opowiadanie według Herodota.)

WINCENTEMU POLOWI

w odpowiedź na wezwanie.

O mistrzu stary z siłą młodzieńca!
Twój głos mi zabrzmiał podniętą:
— „Kwiat nam z twej niwy przynieś do wieńca,
„Stań w naszym chórze poeto!

„Niegdyś helleńskieś ukochał dzieje,
„Peryklesowych blask wieków,
„Niech maratoński czar cię owieje
„I pieśń nam przynieś od Greków!"

O mistrzu! w dobę młodzieńczą świata
Li młodą przenieść się duszą,
Nie już, gdy życia brzemię przygniata
A czoło szrony przyprószą.

Tyś młodość ducha zachował cudnie,
W wiek późny zapały wieszcze,
A mnie nim życia przeszło południe
Starości ziębią już dreszcze.

Cóż śpiewać? Chyba sięgnę do kronik,
Do dawnych wieków powieści,
Gdzie wieczny piękna wytryska ponik,
Niechaj Ci on coś szeleści.

Oto Herodot! jak dziejów zorze,
W nim się promieni Hellada,
Chyba Ci jego karty otworzę,
Ojciec Herodot niech gada!

* * *

„Mieszkańcy Kymy! od Sardów strony
„Kurzem owiany, krwią zapocony
„Jak zwierz przez łowca ścigany srodze,
„Żebrzący schronu do was przychodzę.
„Przeciw Cyrusa sile potężnej
„By zrzucić obce jarzmo poddańcze,
„Naród lidyjski wszczął spór orężny,
„Jam wiódł do boju hufce powstańcze.
„Lecz nam nie były przychylne Bogi,
„Oto zwycięzkie gonią mnie wrogi;
„Zdolne by skusić nawet bogacza
„Pers na mą głowę skarby wyznacza.
„W znoju i trwodze, wyschły od głodu
„W mury waszego zabiegłem grodu,
„Dłoń co podniosła miecz na tyrana,
„Gręcy! dziś wasze ściska kolana,
„Niech was w swej łasce dzierżą Bogowie,
„Strażą u waszych niech staną szańców
„Dajcie przytułek ściganej głowie!"

Do Kimejskiego grodu mieszkańców
Tak wódz lidyjskich mówił powstańców
I do serc głębi słowem tem sięga;
Lecz znów ich perski poseł zastrasza:
Że wnet Cyrusa cała potęga
Głowy dopomni się Paktyasza.
Tam i sam myśli Greków się ważą
I długo stoją z niepewną twarzą,
Tutaj o własną dolę obawa
A tutaj święte tułaczów prawa,
Tak radzi trwoga, a tak powinność,
Miły im spokój, święta gościnność;
Gdy myśli w jedno tak trudno sprzęgnąć
Najlepiej Bogów rady zasięgnąć,
Więc po wyrocznię szlą do Branchidów,
Co począć z wodzem powstańczych Lidów.

Poszli posłowie, odpowiedź biorą
I z takiem słowem wracają skoro:
„Gdyśmy o wyrok pytali Feba,
„Co każą czynić z tułaczem nieba?
„Z wnętrza świątyni głos się rozlega:
„Niech Kymejczycy wydadzą zbiega!"

Gdy takie słowo usłyszy rzesza
Lękliwe serca wieść ta uciesza:

*

„Choć gościa w ręce wydamy wrogów,
„Będziem bez winy, wola w tem Bogów!“
Lecz Arystodyk wystąpił z tłumu,
Mąż pełen światła, cnoty, rozumu,
Duchem jak posąg czysty i nagi,
I w calem mieście wielkiej powagi
I rzecze: „Ludu! albo posłowie
„Źle myśl dociekli w wyrocznem słowie,
„Albo w obawie gniewów Cyrusa
„Tak ich uniosła złego pokusa,
„Że chytrze kłamnem słowem was mamią,
„Taką się radą Bogi nie plamią!
„Perskiego króla Feb się nie lęka,
„Gościa w dom wiedzie Hermesa ręka.
„Poczcić, co święte muszą i Bogi,
„Nie ich to rada, lecz podszept trwogi.
„I zanim gościa wydacie podle,
„Trzeba wprzód prawdy dociec przy źródle,
„Musim wyrocznię drugi raz badać.
„A ja sam pójdę z Bogiem tym gadać.“

Więc szli po radę znów do Branchidów.
Co począć z wodzem powstańczych Lidów.
A gdy u wnijścia staną świątyni,
Rzecz Arystodyk w te słowa czyni:
„Oto się w mury naszego grodu
„Wódz lidyjskiego schronił narodu,
„Przytułku od nas błaga przed wrogiem,
„Na niego Cyrus gniewem wre srogim,
„Miastu zagraża ogniem i mieczem,
„Gdy się opieki nad nim nie zrzeczem.
„A nam się myśli na dwoje ważą,
„Tak radzi trwoga, a tak powinność,
„Miły nam spokój, święta gościnność,
„Więc idziem Bogów pytać, co każą,
„Wy, Olimpijscy radą wspierajcie!“
Z świątyni głos się ozwał: „Wydajcie!“

Gdy Arystodyk słowo to słyszy,
Od wrót świątyni odchodzi w ciszy,
Zwolna okrąża gmach do około,
A tu gdzie pańskich kolumien czoło
W rzeźbionych gzymsów marmur się sklepią,
Wróble i szczygły gniazdeczka lepią,
Tu czarnopiórych stadko jaskółek
Cichy obiera sobie przytułek,
I różnych ptasząt stubarwne mnóstwa
Żywą girlandą cały gmach bóstwa
Oplotły w koło, skrzydłem trzepocą
I wdzięcznie Bogów chwałę szczebiocą.
A Arystodyk jedno po drugiem
Gniazdka wiszące łańcuchem długiem
Zrywa i ptasząt niewzruszon piskiem
Gniewnym o głazy rzuca pociskiem.
A gdy tak czynił, świątyni wnętrze
Takiem mu słowem buchnie gniewliwie:
„Jak ty bezbożny! śmiesz niegodziwie
„Łamać przytułku prawa najświętsze
„I świętokradzką tych ruszać dłonią,
„Co pod gościnny dach mój się chronią?“
A na to Grek się hardy podeprze,
Jak gdyby z Bogiem chciał iść o lepsze,
Gniewem i wzgardą z oczu wybłyśnie
I w głąb świątyni tym słowem ciśnie:
„A ty, o Boże! jak nam śmiesz radzić
„Ażeby świętą gościnność zdradzić?
„I tego każesz dać w ręce wrogów
„Co błagał schronu u naszych progów?“

A wtedy z wnętrza bożego domu
Głos się podobny ozwie do gromu:
„Na to ja taką dajem wam radę,
„By na was prędzej ohydne dzieło
„Gniew sprawiedliwych Bogów ściągnęło
„I skażonego grodu zagładę!
„Byście zginęli w krwi, ogniu, dymie.
„By wygasł nawet ród niemowlęcy
„I samo wasze przepadło imię,
„Abyście nigdy nie szli już więcej
„Z takiem pytaniem przed Bogiem stawać:
„Czy błagających schronu wydawać?!“

Adam Pajgert.

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

Rozdział I.

Pół wieku wstecz. — Stan kraju. — Umysły i serca. — Rolnictwo i przemysł. — Zalety i przywary. — Zwyczaje społeczne — Pani starościna horodelska. — Przybory do drogi. — Goście. — Portrety.

Cofnę się pamięcią o całe pół wieku. Postaram się odtworzyć obraz zamierzchły tego, co było u nas na Ukrainie. w sensie społecznym, przemysłowym i moralnym. Będzie to malowidło rzetelne i sumienne, choć nie mistrzowskie. Nie znajdzie w niem czytelnik ani barw efektowych, ani świetnych draperyi; lecz znajdzie za to prawdę surową, niemiłą, wiem ja dobrze, tym co lubią przesadę we wszystkiem, lecz pożądaną zapewne nie mnogim wybranym, o których zdanie dbać zwykłem i dla których właściwie piszę. Peryod zawarty między 1821 i 1825 rokiem, najciekawszy może w dziejach Ukrainy, Wołynia i Podola pod panowaniem rosyjskiem, rozwijał się kolejno przed oczyma mojemi z całym szeregiem zdarzeń i przejść duchowych, wyłącznych i charakterystycznych a więc godnych zająć swą kartę w historyi. Inny był wtedy byt naszego społeczeństwa; innymi tory stąpały zdania i uczucia; trafniej sięgały umysły i zacniej uderzały serca. W zwyczajach było więcej prostoty, uprzejmości, i jeżeli się tak wyrazić wolno, archaizmu nacechowanego piętnem dawnych tradycyi publicznych i familijnych. Rzadko kto przekraczał granice swojej sfery, sięgał fanaberyą nad możność, lub chłodził sercową gościnność przesadą pozorów i śmiesznością niewczesnego arystokratyzmu. Domy były zasobne, choć je okrywała strzecha, rodziny czyste i bogobojne, sąsiedztwa zgodne i wzajemnie sobie przychylne, stosunki częste, swobodne i na zobopólnym szacunku oparte. Ile sobie przypomnieć mogę, nie widzę żadnej prawie rażącej plamy na tle moralnem tego obrazu przeszłości, bo zboczenia nawiasowe (a te być musiały) znikły niedostrzeżone w masie zalet zbiorowych. Co do materyalnej pomyślności kraju, większej być nie mogło. i powiem absolutnie, że nigdzie większej nie było. Błogosławiona rola hojnie obdarzała dziedzica. Trud jego był nie wielki. Nakład prawie żaden. Poddany orał, siał, zbierał darmo. Rosły sterty i stogi zboża, napełniały się zasieki ziarnem. Potem żyd przybywał, kupował, zabierał i srebrem lub złotem płacił. Możniejsi, niepotrzebujący spieszyć ze sprzedażą krescencyi, wysyłali ją do Odessy, gdzie pomieszczali w magazynach zbożowych własnych lub najętych, dla łatwiejszego pojmania w lot ceny portowej, która, nieraz bywało, do nader wysokiej dochodziła cyfry. Ten stan błogosławiony kraju, nie zmuszający umysłu do mozolnej kombinacyi, sprawił to, że nasi poczciwi Ukraińcy, realnie poczciwi, pogrążyli się szczęśliwie w sybarytyzmie, zasnęli w błogości uciech zmysłowych, cielesnego komfortu, mało dbając o przyszłość, która według nich, nie mogła być czem innem, jeno przedłużeniem teraźniejszości. Młode pokolenie zwłaszcza, niezaprzeczenie poczciwe z kościami, odzna-

czało się kompletną biernością względem umysłowego trudu i duchowej kultury. Walęsać się od domu do domu, to na obiadek, to na polowanie, to na wiseczka, to wreszcie na skocznego mazura przy fortepianie było jedynem jego zajęciem. Ukończywszy *per fas et nefas* bazyliańską humańską szkołę, młodzież spieszyła z lekkim nader ładunkiem wiedzy do rodzinnej zagrody swojej, gdzie oddawała się li tylko usiłowaniom wynagrodzenia sobie próżniactwem i zmysłowością tych lat kilku przymusowego trudu, z którego żadnej korzyści odnieść nie potrafiła. Nadto każde pojawienie się na ukraińskim horyzoncie człowieka wyższych usposobień i staranniejszego wychowania, było zdarzeniem anormalnem, stanowiącem erę, a więc nader rzadkiem. Człowiek taki nie wzbudzał sympatyi. Pozbawiony duchowej z nim styczności, ogół młodzieży uważał go nie za swojego, stronił nawet od niego i bodaj czy nie szydził *sub rosa*, z jego wykształcenia i nauki, jako z rzeczy ubliżających godności obywatela mającego wieś dziedziczną a następnie p i e s z ą i c i ą g ł ą pańszczyznę na zawołanie.

Ze strony rządu, kraj nasz, nie doświadczał żadnego nacisku. Wszystkie niemal władze ziemskie były wybieralne. Gubernscy urzędnicy izby c y w i l n e j i k r y m i n a l n e j, także D e p u t a t s k i e g o Z g r o m a d z e n i a, zależeli także od wyboru obywateli. Przywileje zatem obywatelskie rozpościerały się swobodnie i szeroko. Krążenie po kraju nie ulegało żadnemu ścieśnieniu; odbywało się łatwo, bez świadectw policyjnych i paszportów. Dobrze więc było u nas na Ukrainie. Kto żyje i pamięta, niech powie. Gdybyśmy byli przezorniejsi, dalej sięgający myślą i zdolniejsi przytem myśli tej rozsądnie poczętej nadać praktyczne zastosowanie; gdybyśmy mieli więcej cierpliwości, politycznego taktu i mniej niewczesnej zarozumiałości, nie zaniechalibyśmy zapewne obrócić na korzyść naszej sprawy ten czas tyle dla niej przychylny, i zamiast gnuśnieć w materyalnym optymizmie, zajęlibyśmy się gorliwie kształceniem siebie zgodnie z ważnością narodowego celu i z naturą naszych usposobień. Tak postępując, przysposobilibyśmy krajowi ludzi użytecznych, czy to w administracyjnym, czyli w militarnym lub dyplomatycznym zawodzie, i nie dalibyśmy upaść sromotnie sprawie ojczystej, upaść z naszej winy niestety! skutkiem niesforności, samolubstwa i butnej ciemnoty, z jakiemi przystąpiliśmy do dzieła. Rok 1831 zastał nas nieprzygotowanych, nieumiejętnych i nieoczyszczonych z moralnego mętu. Żadnej nie zapomnieliśmy przywary, żadnej nie wyrobiliśmy w sobie publicznej zalety. W całym tym ukraińskim ruchu, tak szumnym i butnym, ledwie byś kilku głębszych i zdolniejszych naliczył a i tych słuchać nie chciano, bo zrozumieć nie umiano. Lecz dość o tym smutnym przedmiocie. Wróćmy zwolna na tor, z któregośmy zeszli.

W epoce, o której mówić zamierzyłem, Ukraina lubiła jeszcze siedzieć spokojnie i drzemać u domowego ogniska. Każde wydalenie się, czy to na kijowskie lub dubieńskie kontrakty, czy to do Odessy na morskie kąpiele, uchodziło za czyn wielkiej energii, za trudne, ba, nawet niebezpieczne przedsięwzięcie. Tkliwych scen pożegnalnych bywało bez liku, rzekłby kto, że się za Atlantyk wybierano. Co do zapasów, w jakie się zaopatrywano, te, mówiąc bez hyperboli, mogłyby realnie do samej Ameryki wystarczyć. Kiedy wypadło *ex consilio* pp. P l a c e r a i. P l e s s l a, najsłynniejszych lekarzy naszej strony (odwiedzających nas często z pobudek rzetelnej przychylności dla domu) żebym brał koniecznie morskie odesskie kąpiele, babka moja po mieczu, pani s t a r o ś c i n a h o r o d e l s k a, przyjęła to ich zdanie do serca i troskliwa o zdrowie wnuczka, zajęła się czynnie przyborem do podróży. Nadzwyczajne posiedzenie przybocznej rady złożone z członków płci obojga, piastujących *ab antiquo* rozmaite urzęda administracyjne, zwołane było z tej racyi pod prezydencyą samej pani starościny. Pan T o m a s z N a ł ę c z L e ż y ń s k i, łowczy nowogrodzki, reprezentował zarząd ekonomiczny, Pan T a r n a w s k i, stajenny, stary M i c h a ł, marszałkowski. Ksiądz F r a n c i s z e k N a g o r n y, reformat z Żorniszcz, luliniecki kapelan, był przedstawicielem kaplicy i jej potrzeb. Panie: C h o r z e w s k a, C y b u l s k a, S t r z y ż e w s k a — sędziwe wdowy, cnotliwie i umiejętnie prowadzące, każda z osobna, swój wydział specyalny domowego przemysłu, także się zebrały *in pleno*. Zaczęły się debaty tej przeważnej kwestyi wyjazdu do Odessy, debaty bez opozycyi, ma się rozumieć, z których po parogodzinnej gawędzie, wynikła w końcu ostateczna uchwała, najmiłościwiej przez babkę moją konfirmowana i mająca się niezwłocznie i jak najpunktualniej uskutecznić. Zawrzał dom ruchem i gwarem. Rozbiegli się konni posłańce z wiadomością rychłego wyjazdu. Na to hasło poruszyło się sąsiedztwo, zaturkotały powozy i rozległy się trzaski biczów rzęsiste. Coraz pełniej robiło się u nas i gwarniej. Bliżsi pospieszyli natychmiast, dalsi nieco później, wszyscy prawie z familiami, z niańkami, bonami, guwernantkami, dwornie i ładownie, bo na dni kilka, w celu doczekania się chwili odjazdu pani starościny powszechnie poważanej i czczonej serdecznie. T e k l a z S a n g u s z k ó w W ł o d z i m i e r z o w a P o t o c k a przybyła z Daszowa, M a r y a z R z e w u s k i c h J a r o s ł a w o w a P o t o c k a z Sitkowiec, T e k l a z S a r n e c k i c h K r a s i c k a z Kniażej-Krynicy, E u f r o z y n a z S z o ł a j s k i c h T y s z k i e w i c z o w a z Oczeretny. Nawet sędziwy P i o t r P o t o c k i, starosta Szczerzecki, zdążył, chociaż trafunkowo, z pożegnalną wizytą do Luliniec. A tu znowu jadą i jadą — pani marszałkowa O p a c k a z całą dzieciarnią, pani marszałkowa S a r n e c k a, córka babki mojej, a więc moja ciotka, z ciężkim ładunkiem młodego potomstwa. Ledwie wysiadły, walą poważnym truchtem sędziwe bucyfały starego marszałka P r z y ł u s k i e g o, obszernie w mojej „U k r a i n i e“ wspominanego. Nim postąpię dalej w relacyi, nadmienię pobieżnie o dwóch paniach P o t o c k i c h, które w liczbie przybyłych gości pomieściłem. T e k l a z S a n g u s z k ó w, była to pani wielce poważana, dobra Polka i obywatelka, najlepsza sąsiadka i przyjaciółka, słowem wysokich zalet kobieta, ale też w równym stopniu brzydka. Nieraz bywało, wpatrując się w portret jej męża, zdobiący salon daszowskiego pałacu, zadawałem sobie pytanie, co mogło skłonić ś. p. W ł o d z i m i e r z a, jednego z najpiękniejszych mężczyzn swego czasu, do tak niestósownego hymenu? Jużcić nie cyfra posagu, bo sam posiadał około 20 milionów zł. p. fortuny. Nie znakomitość połączenia, bo jej nie potrzebował. Może olśniewająca aureola talentów, rozumu, poetyczności? nie — tego w niej nie było. Cóż więc?.... Stary pan W a l e r y a n P r z y ł u s k i, exszambelan króla Stanisława Augusta, późniejszy marszałek Lipowiecki (którego nazwiskiem listę przybyłych gości zakończyłem) człowiek wiedzący wszystko, to nawet, co do niego nie należało, objaśnił tę zagadkę następnie:

— Kupido, największy z psotników — mówił — nawarzył tego piwa. Grotem strzelistych afektów tak srodze ugodził pannę T e k l ę w serduszko, że pokochała serdecznie Adonisa, który, to jest, nie ów bajeczny Adonis, ale pan W ł o d z i m i e r z P o t o c k i — rozczulił się tą miłością, i... akt matrymonialny został dokonany.

Okoliczność ta nastręcza pamięci mojej zdarzenie zupełnie do poprzedzającego podobne. Brat mojej babki, pan S t a n i s ł a w Z a m o j s k i, którego majątki leżały

w kordonie cesarskim, przybył na Ukrainę dla odwiedzenia swojej siostry w Lipowcu. Był on wtedy młodym, szykownym, dzielnym i niezrównanej piękności. Ostatni wojewoda bracławski, Grocholski, nieodlegle od Lipowca mieszkający, zaprosił go do siebie na bal, do Woronowicy, dokąd naturalnie, rad pohulać i potańczyć, pan Zamojski skwapliwie pospieszył. Nie mam potrzeby mówić, że pan Grocholski wystąpił po pańsku, co się zowie. Karmił gości na zabój, poił do upadłego, walił z moździerzy aż mury drżały, a trąbom i puzanom swojej nadwornej kapeli kazał gwałtować w niebogłosy, żeby wszystkie zakątki województwa słyszały jak pan wojewoda ucztuje.

Pan Grocholski miał córkę wielce dowcipną, ukształconą i dobrą istotę ale nie ładną. Że pan Zamojski był grzecznym i nadskakującym dla niej, cóż w tem dziwnego? Wszak był światowym kawalerem i wiedział dobrze co się od gościa córce gospodarza należy. Że mu żadna myśl zalotna do głowy nie przychodziła—i to rzecz naturalna; bo będąc młodym, pięknym, bogatym i świetnie urodzonym, miał prawo podrożyć się trochę i szukać odpowiedniejszej pary. Nie darmo jednak głosi łacińskie przysłowie: *volentem ducunt fata, nolentem trahunt*, co ma znaczyć, że nie tak się zwykle dzieje jak człowiek zamierza, ale jak sądzono—i rzeczywiście, stało się zupełnie wbrew woli i oczekiwaniu pana Zamojskiego. Ów psotnik (jak się wyrażał stary szambelan Przyłuski) Kupido, i tą razą nawarzył piwa. Obrawszy sobie za metę tkliwe serduszko panny Teresy, dopóty je porażał groty swojemi, aż się gwałtowną miłością rozpłomieniło — skutkiem czego wypadło, że kiedy się po balu goście rozeszli na spoczynek i cały pałac smaczno zachrapał, pan Zamojski ni ztąd ni zowąd porwał pannę wojewodziankę do karety, uwiózł do Lipowca i wziął z nią ślub *stante pede* w domu państwa starostwa horodelskich.

Co do Maryi z Rzewuskich Potockiej, córki Seweryna, hetmana polnego koronnego i siostry Wacława *Emira-tadż-Ulfehr*, ta była uroczem wcieleniem dobroci i wdzięku. Natura odlała ją w odrębnej formie, odrębnymi przymioty uposażyła i chlubna z dzieła swego, postawiła ją wzorem dla wielu, przedmiotem czci dla wszystkich. W rysach jej, żywo przypominających poetyczne oblicze Wacława, było coś pociągającego słodyczą, coś imponującego dostojeństwem, coś uderzającego rozumem. Kochać ją każdy musiał, nie poważać jej nikt nie mógł. A przecież obok tylu praw do szczęścia, szczęśliwą nie była. Nie mało ciosów boleśnych dotknęło ją w życiu, i największa ich liczba z dłoni mężowskiej wypadła. Zostać mężem takiej kobiety, nie powinno było być udziałem pana Jarosława. Zanadto go los zaszczycił takim darem — zanadto uszczęśliwił! Mówię, zanadto, bo nad zalety i zasługę. Nie było w panu Jarosławie wewnątrz nic, oprócz fumy magnackiej — nic nie było zewnątrz, oprócz salonowego pokostu. Umysłowo był on kompletne zero, moralnie idem. O! nie takiego warta była męża, dobra, cnotliwa, rozumna i poetyczna Marya! A więc, powtarzam, biedną była ona i nieszczęśliwą! Śmierć tragiczna ukochanego brata, Wacława Rzewuskiego po daszowskiej porażce ukraińskiego powstania w 1831 r. wieczną serce jej okryła żałobą. Nie widziano odtąd uśmiechu na jej ustach, nie słyszano wesołego słowa. Miała u siebie w Sitkowcach piękną kaplicę w stylu ostrołukowej gotyki wybudowaną. Tam pędziła długie godziny na modlitwie i pogrążeniu się w Bogu, szukając ulgi cierpieniom przepełniającym jej duszę. Wkrótce ją miłosierdzie boskie do lepszego życia powołało! — Cześć niech będzie jej jasnej i rzewnej pamięci! (C. d. n.)

Goethe i Descartes.

Studium

przez

Dr. ALFREDA ZGÓRSKIEGO.

Jestto zjawiskiem dnia każdego, że młodzież na wstępie do życia stojąca, której różowe nadzieje ze wszech stron uśmiechać się zdają, tak skłonną zwykle bywa do skeptycyzmu, do tej choroby duchowej, którą jak wierszomanię prawie każdy przeboleć musi. Jest wprawdzie ten skeptycyzm najłatwiejszą formą frazeologii, dodając swoim adeptom pewnego pozoru oryginalności i łechcąc ich próżność nadzieją koturnowego stanowiska pośród tłumu, ale posądzalibyśmy wiek młody o nazbyt wielką płochość, szukając w tem jedynie ostatnich przyczyn skeptycyzmu. Przynajmniej dla tych, którzy nie z oryginalności często bardzo wygodnej, bo dobrze wewnętrzną próżnię ukrywającej, a niechęć do rzetelnej pracy tłumaczącej, lecz z przekonania w pewnym okresie swego życia są skeptykami, przynajmniej dla tych — a liczba ich jest wcale poważną — należy się za innymi oglądnąć przyczynami choroby.

Śmiało rzec można, iż stosunkowo na polu nauki najwięcej pracuje młodzież. W stosunku do sił intellektualnych — wyjąwszy małego grona uczonych ze zawodu — w wieku młodzieńczym najwięcej się uczymy, tak pod względem rozmiarów nabywanej wiedzy, jak i czasu nauce poświęcanemu. Nie dziw więc, iż mimo świeżości sił duchowych dla nawału ciągle nowych pojęć, cisnących się do umysłu, ustalenie i uporządkowanie ich w myślącej głowie nie jest rzeczą zbyt łatwą. A ponieważ formalna, powierzchowna strona pojęć łatwiej w umyśle utkwić może, niż sama treść ich, ponieważ łatwiej sobie tamtę przyswoić, aniżeli w tę wniknąć, dla tego wykształcenie młodego umysłu początkowo bywa zawsze przeważnie formalnem, nie sięgającem do najgłębszej istoty każdego pojęcia. Zważyć także wypada, jak wiele na tem cierpi u młodego człowieka logiczna łączność, panująca między wszystkimi pojęciami, że ogniwa ich pośredniczące tenże najczęściej bądźto w niepamięci uroni, bądź też ich blaskiem należytego poznania nie oświeci. I ztąd to cały gmach pojęć, jaki w umyśle młodzieńca się wznosi, jest do pewnego czasu nietylko wiotkim i kruchym, ale, co gorsza, niezaludnionem jest jego wnętrze, nie wypełnione samorodnym poglądem formy. Młodzieniec ma swój świat intellektualny, którego nie umie pogodzić z naturą i zjawiskami rzeczywistego. Przez mglisty pryzmat świeżo nabytych a nieprzetrawionych i logicznie nie powiązanych pojęć spogląda on na ten świat faktów, który widziany niegdyś, jeszcze w dziecięcym wieku, okiem natury, wcale inaczej mu się przedstawiał i który w niczem nie odpowiada chaosowi jego wyobrażeń, więcej idealnych aniżeli praktycznych. Młodzieniec traci miarę na odróżnienie prawdy rzeczywistej od poglądu tylko subiektywnego; pomiędzy nim a światem faktów wznosi się sprzeczność, trudna do rozwikłania. Cóż więc naturalniejszego, jak, że młodzieniec przyszedłszy na to rozdroże, wyposażony stosunkowo dosyć znaczną ilością takich pojęć, które odwiodły go od dziecięcego lecz natu-

ralnego na świat poglądu — a nie wystarczają, aby nań patrzył zdrowo i wyraźnie okiem rozumnem, uczuwa głęboko tę dysharmonię pomiędzy sobą a niezrozumianym światem, którego zrozumienie przecież nauki jego miało być celem. Żywość wieku młodzieńczego musi się podrażnić na taki rezultat wielu może lat pracy, nie dosyć wprawdzie gruntownej, ale szczerej; nauka wyda mu się teraz nie rozwiązaniem zagadek, ale ich gromadzeniem, świat przedstawi mu się niedocieczonym Sfinxem. Skeptycyzm więc w pewnym okresie naszego wieku jest naturalnym objawem ducha.

Straciwszy on niepowrotnie ów dziecięcy, intuicyjny, naturalny na świat pogląd, a zawiódłszy się na nauce, wątpić poczyna, czy w ogóle kiedy świat już zrozumieć zdoła? Taki jednak smutny horoskop przyszłości własnego umysłu przejmuje go trwogą i wiedzie do tragicznego przekonania o kruchych siłach ludzkiego ducha. Od zrozpaczenia w tym stanie ratować go się zdaje, chociaż tylko pozornie: konsekwentne zaprzeczenie rzeczywistości, skeptycyzm w obec świata.

Objaw ten napotykany w rozwoju ducha młodzieńczego tak jest naturalnym, iż wiecznie odnawiać się będzie we wszystkich przeszłych i przyszłych generacyach, stojących na pewnej cywilizacyjnej wyżynie. Kto więc potrafi ten stan ludzkiej duszy ująć w jasny obraz i przelać go w dzieło sztuki, kto odmaluje wiernie jego genezę i poda psychologiczne jego przyczyny, ten stworzy utwór wiecznie świeży, wiecznie prawdziwy, wiecznie żywotny, rzekłbym, klasyczny. Descartes w pierwszym rozdziale swego „Discours de la methode“ (pomijając ustępy w jego „Principes philosophiques“ i „Meditations“), Göthe w pierwszych scenach swego „Fausta“ poszli tą drogą.

Nim jednak tę chwilę z życia i pism obu tych pierwszorzędnych myślicieli przedstawię, parę jeszcze podam uwag ogólnych.

Nie podzielam zupełnie starego prawie jak świat, a odświeżonego tylko w dosyć rozgłośnej Drapera „Historyi cywilizacyi europejskiej“ zdania, jakoby życie ludzkości, tak samo jak jednostki, miało swój wiek młody, dojrzały i sędziwy. Sądziłbym owszem, że ludzkość jest, jak ów wiecznie odmładniający się w płomieniach Fenix egipski. Często już ludzkość była zgrzybiałą — lecz w ogniu walki znowu się odmładzała. Taką chwilą wewnętrznego odmłodzenia była dla niej nietylko religijna, ale zarówno umysłowa i społeczna reformacya wieku XVI, taką była również nietylko polityczna, ale także społeczna i umysłowa, nietylko francuska, ale powszechno-europejska rewolucya XVIII wieku. Jeźli bowiem chwila przejścia od starożytności do wieków średnich da się w historyi dokładnie oznaczyć, będąc owocem jednego chociaż przeciągłego poruszenia się duszy świata, to przejście w czasy nowe nie da się odnieść do jednej chwili dziejowej, ani jednym wybitnym określić faktem. Ludzkość kilkakrotnie wytęża swe siły, stara się zgromadzić wszelkie czynniki nowego życia — ale żadnym razem nie może jasno i całkowicie pochwycić idei przyszłości. Jest to szereg letargów i ocknień... Czasy nowe są owocem kilkakrotnych dopiero wysilków ludzkości, a wieki XVI i XVIII są najwybitniejszemi dobami tego stopniowego rozwoju. Z tego już względu napotykamy na podobieństwa między nimi. Wiek XVI, zbierając pierwsze owoce dawno już z duchem średniowiecznym rozpoczętej walki, jest chwilą tryumfu poglądów na świat nowożytnych. Protest przeciwko średniowiecznej teologii dokonuje się przez reformatorów religijnych, przeciw fizyce i astronomii aristotelesowsko-biblijnej przez odkrycia Kolumba, Galilea, Kopernika; obaloną zostaje nauka przyrody Pliniusza, kościelna władza ustępuje ziemskiej—pieczęcie i pergaminy tracą siłę w obec Machiavela i Hobbesa. Nawet język średniowieczny, łaciński, ulega rozwojowi języków narodowych, wprowadzonych do piśmiennictwa i liturgii. W końcu i samej myśli usiłuje wiek zakreślić nowe prawa: po nad zbutwiały „organon“ Aristotelesa wychyla się Bakonowski „organon novum.“

Wobec tych jednak zmian gruntownych rozsnuwających się na bogatem tle XVI wieku, ludzkość znachodzi się początkowo w położeniu młodzieńca, który pod nawałem nowych pojęć, w obec zupełnie nowej teoryi życia i myślenia nie umie się zoryentować, ukołysać. Nauka przechodzi z klasztorów do szkoły świeckiej, wyłamuje się z pod monopolu duchownego, przechodzi na własność zwolenników humanizmu a w ich rękach silnie, namiętnie i szybko rozwijana, nabiera barwy zupełnie różnej od pojęć starożytnych, na podstawie których rozwijał się świat dotychczasowy. Ideały nowego życia pochwycone w locie, ale jeszcze nie przetrawione — ztąd całe życie niepewne, nieokreślone, niezgruntowane... Młodzieńczy zapał przepełnia głowy, gorączka nienasycona trawi wnętrza; ludzkość pragnie harmonii między teoryą i życiem faktycznem, a nie mogąc jej znaleść, poddaje się skeptycyzmowi. Obala gmachy własnej teoryi, a z nią i samą rzeczywistość — albo dąży do uspokojenia za pomocą alchemii, czarów i szatana, byle nie powrócić pod kuratelę średniowiecznego Boga i zakrzepłej teologii... Stan ten najlepiej charakteryzuje podanie XVI wieku o Drze. Fauście, *) bardziej tragiczne—lub o Twardowskim, więcej mające w sobie stron komicznych. Podobnemu zachwianiu wiary w naukę i rzeczywistość uledz musiał każdy głębiej myślący człowiek w XVI wieku i na początku XVII. Descartes rozpoczynając książką „Discours de la méthode“ swą czynność naukowo-spekulacyjną dał w jej pierwszym rozdziele wielki dowód szczerości, spowiadając się całkowicie z tego dziwnego stanu duszy. Descartes bowiem w dziele tem nie chce uczyć drugich, ale opowiada „historyę własnego życia wewnętrznego.“

Skeptycyzm Descarta był najwierniejszem czasu swego odźwierciedleniem, a ponieważ rozbiór jego był najdokładniejszą i najgłębiej pojętą diagnozą choroby wieku, nic dziw więc, że wywarł skuteczny wpływ na umysły. Wiek XVII stał się dobą ustalenia pojęć w każdej dziedzinie ludzkiego ducha. Stan ten przeciągnął się aż do drugiej połowy wieku XVIII; teraz jednak ludzkość nie widząc wbrew swym usiłowaniom owoców przeciągłej walki całkowicie osiągniętych, a napotykając nawet na fałszywie ujęte idee w owym programacie ogólnego protestu przeciw wiekom średnim, (co wykazywały aż nadto stosunki XVII i XVIII wieku) odnawia walkę i zmienia gruntownie naturę nowożytnych dziejów.

Walka ta znowu, jak dawniej, występuje przeciwko stosunkom średniowiecznym, o ile wiek XVI jeszcze ich nie obalił lub obalić nie zdołał; występuje nawet przeciwko samym rezultatom pracy XVI wieku, o ile te również popadły w średniowieczne przesądy. Znowu ludzkość zakłada protest przeciwko teologii nietylko katolickiej, ale już i protestanckiej—a jeźli wiek XVI usiłuje obalić papiestwo, koniec XVIIIgo stara się już o obalenie chrystyanizmu. I znów protest przeciwko władzy, jak tam kościelnej, tak tu świeckiej—bo przeciw politycznemu absolutyzmowi, znowu protest przeciw monopolowi nauki, przeciw rozwielmożeniu się języka, jak tam łacińskiego, tak tutaj francuskiego. Protestacya ta wywołuje i w tym wieku, jak dawniej, zbyt gorączkowe, zbyt radykalne a zarazem powierzchowne reformy, a tem samem, co

---

*) H. Düntzer: Die Sage von Doctor Johannes Faust. Stuttgard. 1846.

dawniej, torem logicznym idąc, ulega znowu chwilowemu skaptyzmowi. Skeptycyzm bowiem jest tylko źródłem tak smutnych i chorobliwych objawów, jak ówczesny materyalizm, ateizm, mesmeryzm, wystąpienie kawalera Cagliostro, Werteryzm, niedługo odrodzony w goryczy Byrona i aż do połowy blisko naszego wieku silnie na umysły oddziaływający.

I dlatego to właśnie w tym wieku podanie o Fauście wielkie obudzało zajęcie, tak że najznakomitsi nawet ludzie jak Lessing, Müller, Klinger, Lenz i inni gorąco niem się zajmowali. A i sam Goethe, króry jeden może w zupełności potrafił zjednoczyć w sobie wszystkie promienie duchowe swego czasu, nie mógł zachować się obojętnie w obec tego powszechnego skeptycyzmu. Podanie gminne ujęło w doktorze Fauście charakterystyczne rysy wieku XVI — Goethe w swem arcydziele podał najdokładniejszy obraz duchowej fizyognomii XVIII wieku. Aby zaś poematowi swemu nadać koloryt najbardziej ludowy i uczynić go duszy narodu zrozumiałym, ubiera samego siebie właśnie w postać legendową Fausta. Ale nie jest to już Faust XVIgo lecz XVIIIgo wieku. Jeźli zaś są jakie podobieństwa, jeźli Faust wieku XVIgo stał się szkieletem Fausta z XVIII wieku, to tylko dla podobieństwa prototypów przedstawionych w obu obrazach, to tylko dla podobieństwa wieków XVIgo i XVIIIgo.

(C. d. n.)

RADZIWIŁŁ W GOŚCINIE

anegdota dramatyczna w 3. aktach

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

OSOBY:

Książe KAROL RADZIWIŁŁ, Wojewoda wileński.
Kniaź HREHOR KORJATOWICZ KURCEWICZ, Chorąży lidzki.
BASIA KURCEWICZÓWNA, jego córka.
HELIODOR DYPLOWICZ, sąsiad Kurcewicza.
SZMUL SŁONIMIEC, arendarz w Obibokach, karczmie księcia Radziwiłła.
JÓZEF SZCZUKA, dworzanin i koniuszy księcia.
WOŁODKOWICZ. KIRKOR. KISZKA. PUCHALA. LARZAC. Komendant zamku. Jenerał.
ŻURA, dworzanin.

Dwór księcia Radziwiłła.

Rzecz dzieje się po powrocie Księcia z Węgier.

Akt I.

(Teatr przedstawia wielką izbę w gospodzie żydowskiej na gościńcu wiodącym do Nieświeża, na granicy dóbr książęcych, w Obibokach.—Zwykły sprzęt karczemny, ale izba umieciona, wysypana tatarakiem i jedlinką, przystrojona w zielone gałęzie na przyjęcie gościa. — Ławy do koła.—Od sufitu mosiężny pająk odczyszczony, w głębi szynkwas obwiedziony galeryjką, w nim pełno butelek, szklanek i t. p. W lewo wielki długi stół na nogach krzyżowych, w części białym obrusem zaścielony... Drzwi w głębi jedne od podwórza, drugie na lewo do alkierza, trzecie w prawo do sieni i stajni.)

Scena I.

SZMUL SŁONIMIEC (sam, przybrany świątecznie. Żupan atłasowy czarny, czapka z sobolem. W ręku trzyma rożek do kadzenia, z którym obchodzi izbę, zaglądając często do okien.)

Nu! chwalić Pana Boga! Doczekaliśmy się z powrotem naszego pana, Księcia Jegomości... i skończy się panowanie oficyalistów. Nu! niema nic gorszego jak gdy sługa panuje. Książe, taki zawsze on Książe! Choćby był zły wieczorem, to jutro wstanie dobrym... Szmul jemu pierwszy przywita na Radziwiłłowskim gruncie... Jego to powinno chwycić za serców... Gdyby on jedną ratę darował?... Czemu nie ma darować?... Won Szmula zna od dziecków i Szmul jemu zna od maleńkości... a potem kiedy był jeszcze Miecznikiem, a waj! to były historye! No — ale już nie będzie. Szmul jemu kocha i on kocha Szmulowi... Czemu nie ma kochać? Won to wie, że wiele było Radziwiłłów Wojewodów Wileńskich, tyle było Szmulów arendarzów w Obibokach. Nasze familie były zawsze w wielkich przyjaźniach... (Staje, kładzie rożek i myśli.) Jemuby się należało coś powiedzieć elegancko... extra fein!! bo on wie, że ja mam rozum, a może sobie pomyśleć, że ja jemu jego żałuję... (Podnosi czapkę i kłania się do drzwi, jak gdyby księcia przyjmował.)

O tak! Co by jemu takiego przyprawnego fein powiedzieć?... Jaśnie oświecony Księci Jegomości!... (myśli i mówi do siebie) Na półnisku nakrytego pięknym chustkiem, postawim flaszkę kowieńskiego Lipca, flaszkę wódki Gdańskiej i fein piernik Toruński... i jemu jego podam... (chrząka) Nu, co ja jemu powiem?... (myśli) Co ja jemu powiem, żeby było fein! (uderza się w czoło).

Jaśnie oświecony Książe Jegomości... Prosimy przyjąć tego maleńkiego daru z wielkich serców od Szmula Słonimca... życzliwości — szczęśliwości... powrotu na panowanie. A niech Bóg Abrahama i Jakóba błogosławi księciu Jegomości i wszystkim jego familiom... (myśli)

To nie jest kiepsko — ale on przywykł, żeby jemu było pieprzno, on tego sto razy słyszał — to nie jest pieprzno... nie — musi być inaczej — (staje i myśli).

Jaśnie oświecony Książe Jegomości! Jak bez słońców schnie drzewo i umiera trawa i zboże zdycha i ogrodowina... tak wierne sługi Waszej Ks. Mości, w księstwie nieświeskiem schlim i umieralim bez jego pańskich obliczów. Wschodzi jasnych słońców naszych, jaśnieje gwiazda nasza i radują się wszelkie wnętrzności: Vi-vat! (Rzuca czapkę do góry, chwyta i zamyśla się.) To dosyć dobrze— ale nie najlepiej... Hm! No, coby ja był za żyd, żeby ja jemu co z Thory nie powiedział. Recht! no tak! (myśli) Jaśnie Oświecony Książe Jegomości! Miał Izrael króle swoje Salomona i Dawida... a jak stracił ziemie swoje, a poszedł na rozsypanie, przyjęła jemu ziemia polska i litewska... I co? (wzdycha) Och żeby ja był wczoraj wiedział... jabym był sobie fein pomyślał... (wzdycha) Jak to temu trudno gadać co przywykł robić... tak samo być musi trudno robić temu, co tylko przywykł gadać. (ociera pot z czoła) Jakbym drwa rąbał tak się zmęczyłem, a jeszcze nie wiem co gadać, żeby było fein. (Słychać hałas przed karczmą — Szmul przerażony bieży ku drzwiom od alkierza) A waj! a gwałt! Sure! Księci jedzie, a tu nie gotowo... Rifke... Jankiel... Abraham... gewalt... Tacę z chustkiem i z miodem.

(Przez drzwi do alkierza wysuwają się dwie ręce i podają tackę. Abraham wziąwszy ją krokiem poważnym podchodzi ku drzwiom od sieni, w chwili gdy się one właśnie otwierają, kłania się i nie widzi z początku, kogo wita.)

Scena II.

SZMUL, Chorąży KURCEWICZ, BASIA.

(Za niemi w kilka chwil wsuwa się po cichu ukradkiem Dyplowicz i siada w najgłębszy kątek pod szynkwasem.)

KURCEWICZ — chudy wysoki ale kościsty, głowa podgolona z czubem najeżonym, wąs siwy nastrzępiony do góry, bóty czarne kozłowe do kolan, kaftan łosiowy, na nim kontusz, torba borsucza przez plecy, szabla u boku.

BASIA—skromny strój podróżny, na głowie kwefik czarny, ubiór ubogi, ale czysty.

DYPLOWICZ — mały, skrzywiony w łopatkach, głowa wielka, twarz kragła, uśmiechnięty, pokorny, kłaniający się, ubranie liche, szabelka podpięta wysoko i maluśka, jakby dla proporcyi.

(SZMUL ze schyloną głową z początku nie widzi Kurcewicza, który stoi, patrzy na półmisek i kręci wąsa. Dopiero podniósłszy oczy arendarz postrzega Chorążego, cofa się zdziwiony i kwaśny, Kurcewicz chwyta go za ramię.)

CHORĄŻY. Co to ma znaczyć?

SZMUL. Jakto, co ma znaczyć?

CHORĄŻY. Kogóż to chciałeś tak paradnie przyjmować? hę? dla kogo to było?

SZMUL (ręką machając). A! a! nu! nu! Juści nie dla Jegomości! Tu, tu lada moment nadjedzie sam Książe Wojewoda...

CHORĄŻY (pogardliwie). Książe Wojewoda, wielka mi sprawa! straszna figura! patrzajcie go! a ty wiesz kto ja jestem?

SZMUL. Co ja nie mam wiedzieć? Jegomość jest z pozwoleniem... Chorąży Kurcewicz z Siennej Wulki.

CHORĄŻY. A ty myślisz, że Kurcewicz gorszy od Radziwiłła do kroćsto tysięcy basałyków?

(W czasie rozmowy Basia zrzuca kwefik, — przygląda się gospodzie, spostrzega Dyplowicza, który się jej bardzo nisko kłania, rusza ramionami i odwraca od niego. Potem w czasie rozmowy ojca hamuje jego porywy.)

CHORĄŻY. Myślisz, że Kurcewicz od Radziwiłła pośledniejszy?

SZMUL. Czemu ma być gorszy albo pośledniejszy? Radziwiłł swój gatunek, a panów Kurcewiczów swój gatunek i każdy ma swego gatunku.

CHORĄŻY. Cóż to ty myślisz, ty, że Radziwiłł do innych niż ja ludzi należy — sto fur djabłów!

SZMUL (chcąc odejść). A waj! na co tego gadać! Won jest Radziwiłł, Jegomość jest Kurcewicz — to i dosyć.

CHORĄŻY. Tak, a ty jesteś Szmul Słonimiec i do tego głupi!

SZMUL (obrażony). Szmul — ale niegłupi.

CHORĄŻY. Jakto, nie? Żyjesz w tym kraju kopę lat, a niewiesz, że Kurcewicze Koryatowicze ród swój kniaziowski prowadzą od Koryata, a Koryat od Palemona, a Palemon od Cezarów rzymskich... A wiesz że ty zkąd poszli Radziwiłły? do sto basałyków — Radziwiłły idą od Lizdejki, a Lizdejko był pop i do tego jeszcze pogański... Radziwiłłowie popowicze — chapoknysze...

SZMUL. (Patrzy z politowaniem kiwając głową.) Tego ja nie wiem, co prawda... ale tego ja wiem, że won ma Nieśwież i tysiąc wsiów i dwieście miasteczków a Kurcewicz jedną Sienną Wulkę, którąby Radziwiłł zjadł na śniadanie i jeszcze by mu się jeść chciało.

CHORĄŻY. Żydzie, po żydowsku cenisz ludzi.

SZMUL. A waj! bom żyd!—(po namyśle) Ale posłuchaj Jegomość... Ja tu na niego czekam... Niech mnie Jegomość zrobi tę łaskę i sobie ztąd pojedzie. Nu — na co tu Jegomości na niego... siedzieć? Ja jutro przyszlę ćwiartkę cielęciny, co fein!

CHORĄŻY. Ażebyś sto basałyków zjadł, niewiaro, Judaszu ty jakiś, mordyaszu Boga! Patrz go! Co to ty sobie myślisz... że ja przed Radziwiłłem będę uciekał? Co to ja—gorszy od niego? Czy to nie karczma? Ja się dawno z nim chciałem spotkać i rad jestem, że tego szalbierza, gadułę, łgarza w kumysz zapędzę...

BASIA. Mój ojcze!

CHORĄŻY. Daj mi ty pokój.

BASIA. (prosząc) Ojcze drogi! zlituj się! Wiesz, że to człowiek szalony — po co się narażać na awanturę. Tatku kochany, jedźmy, błagam... proszę... Tu z nim nasypie się ludzi... my sami... Ojcze ja się boję o Ciebie. (obejmuje go) Ja błagam Cię, proszę, zrób to dla mnie — dla twej Basi. Jedźmy, uciekajmy!

CHORĄŻY. (kręcąc wąsa) Niedoczekanie jego — Cicho byś była — idź do alkierza i schowaj się kiedy ci strach... Jeszcze by czego nie stało, żeby kniaź Koryatowicz Kurcewicz otrąbiony był, iż się zląkł Radziwiłła i umknął przed nim. Żydziby się ze mnie śmieli do stu basałyków. — (Cicho) Ty mnie nie znasz Basiu — z tego nic nie będzie. (do Szmula) Słuchaj ty stary mordyaszu Boga... daj mi tu zaraz na stół jeść!

(Podsuwa się do tacy, którą Szmul postawił na stole, choć Szmul usiłuje obronić, nalewa wódki, pije, łamie piernik i zakąsuje.)

To nie złe przed obiadem... Słyszysz! tu mi dać jeść! na tym stole. Szczupak faszerowany powinien być...

(Basia zlękniona przysiada i szepce mu coś na ucho... Chorąży się odwraca i spostrzega Dyplowicza w kącie.)

Co asindziej tu robisz? hę? Już jesteś? już mi na pięty nastajesz? jużeś dogonił? Gdzie ja tam i wy — jak cień! a to skaranie Boże...

DYPLOWICZ. (Wysuwa się kłaniając i zacierając ręce) Stopy pana Chorążego całuję, do nóżek upadam! Cóżem winien, że się spotykamy! Miły Boże! Jak pan szczerych przyjaciół ocenić nie umiesz, a ja pański animusz admiruję.

CHORĄŻY. Animusz, jak animusz, ale ty moją Wulkę admirujesz i chciałbyś mi ją wyrwać, wypieniaczyć... a bojąc się bym jej komu nie sprzedał, jak cień mnie ścigasz...

DYPLOWICZ. Ja! ja! panie Chorąży! klnę się...

CHORĄŻY. Nie klnij się, do stu basałyków, a w oczy mi nie leź.

DYPLOWICZ. (kłania się i umyka do kąta.)

SZMUL. (który w czasie rozmowy stał zamyślony) A co będzie?

CHORĄŻY. Będę tu siedział i jadł.

SZMUL. A waj! Rób Jegomość jak lepiej — ale jak z tego będzie wantura, albo, chowaj Boże, krew pociecze... ja ręce umywam...

(Basia płacze — ojciec ją uspakaja. Dyplowicz ręce zaciera... Szmul patrzy.)

SZMUL. A że będzie wantura... to jest pewne... Jegomość Księcia nie lubi, Książe Jegomości nie kocha, Jegomość nie ustąpi, on nie pójdzie... a co po tego?

CHORĄŻY. Mnie się tak podoba... do stu basałyków...

SZMUL. Won jest dobry ale impetyk... Czasem jak anioł, a czasem gorszy od samego dyabła...

CHORĄŻY. A ja gorszy od stu dyabłów!...

SZMUL. (wzdycha) Ot... kiedy nieszczęście przeznaczono na mojego dom i w taki dzień! (do Basi cicho) Niech panienka tatkę zapłacze... bo będzie wielkie nieszczęście.

BASIA. Ale cóż ja nieszczęsna pocznę! Bylibyśmy pojechali zaraz, gdybyś mu sam nie powiedział bezpotrzebnie (łamie ręce). A teraz! Co tu począć? (oczy zakrywa chustką).

SZMUL. Panie Kniaź Kurcewicz Kondratowicz... pan jesteś godny figura...

CHORĄŻY. Nie przekręcaj nazwiska! żydzie! — że jestem godny to wiem i bez ciebie.

SZMUL. Bądź Jegomość wspaniałomyślny, a ulituj się nad córeczkiem i nad Szmulem... Jak on tu was zastanie — Jak będzie tylko dwa słowa a od słowa do szabli... i krew, i na mój dom wielki smutek.

CHORĄŻY. Albo to nie karczma?

SZMUL. (urażony) Karczma? Co to karczma... to jest uczciwa austerje.. Na co w niego ma być wantura? Książe ma z sobą stu ludzi, a oni wszystkie takie, że im tylko bij a siekaj jemu na sałatę... Won jest dobry pan, ale oni was na szablach rozniosą...

BASIA. (klękając) Ojcze!

CHORĄŻY. Cicho! dziecko... Dyabeł nie tak straszny jak go malują. Idź mi zaraz na górę i siedź spokojnie. Mnie się nic nie stanie. Burd nie lubię i nie robię, ale tchórzem nie byłem i nie będę... To darmo— zostanę tu... Znam go dawno ze słuchu, zna on mnie z humoru mego—trzeba się raz przecie spotkać w życiu i w oczy sobie spojrzeć.

BASIA. Ach! ojcze drogi! Żyć z nim nie potrzebujemy, ani z nim wojny prowadzić, na co go jątrzyć?

CHORĄŻY. (całując ją w czoło) Nie znasz widać szlacheckiej natury Basiu. Ustępować ona z musu nie lubi. Z dobrej woli koszulę odda a pod naciskiem prędzej życie, niż dumę... Ja jestem trochę więcej niż prosty szlachciura, bo kniaź Koryatowicz... a Radziwiłła ojcowie moich w nogi całowali — Popowiczowi nie ustąpię.

BASIA. (łamiąc ręce) O Boże! ratuj!

SZMUL (z rezygnacyą) No — co osądzone to osądzono! Darmo gadać. Żeby Chorąży wprzód choć testament zrobił.

DYPLOWICZ. (na stronie cicho) A mnie Wulkę zapisał.

CHORĄŻY. (krzykliwie) Milczeć mi! żydzie—jeść! tu! jeść! Jesteś, żebyś mi służył, nie żebyś mi radził.— Jeść, do stu tysięcy basałyków... bo karczmę spalę!

SZMUL. (ucieka, Kniaź goni za nim do alkierza.)

(C. d. n.)

Przegląd literacki.

Tadeusz Kościuszko i rozbiór Polski przez Franciszka Rychlickiego. Nakładem Autora. Kraków Str. 516. 1872.

Przebiegając ostatnie karty dziejów powszechnych, nigdzie nie napotykamy sympatyczniejszej, popularniejszej postaci nad Tadeusza Kościuszkę.

Rzadka skromność, prostota dziecka, gorąca miłość świętej sprawy wolności, a dusza tkliwa obok nieustraszonego męstwa i wysokich talentów: oto cnoty, które naszemu bohaterowi zjednały serca i szacunek obcych nawet narodów, a w ojczyźnie stworzyły z niego postać legendową, dobrze znaną pod ubogą strzechą wieśniaka. „Imię jego“ — są słowa Lafayetta — „należy do całego cywilizowanego świata, a jego cnoty są całej ludzkości własnością!“ Wielu też bardzo autorów swoich i obcych kreśliło nam jego życiorysy. Prace te jednak nie zamykały w sobie najczęściej żadnej całości, ograniczały się zaledwie na oddaniu kilku tylko momentów, lub, co najwięcej, pewnego okresu z życia bohatera. Dopiero w roku 1866 pojawił się pierwszy zeszyt wybornego dziełka L. Siemieńskiego: „Żywot Tad. Kościuszki,“ pracy przypominającej wprawdzie bardziej ciekawy romans historyryczny, niż badania krytyczne, ale rozświecającej wiele szczegółów przedtem zupełnie nieznanych. L. Siemieński doprowadził życiorys Kościuszki zaledwie do chwili wybuchu powstania w Krakowie w roku 1794, dalszy ciąg jego zajmującego dziełka z niewiadomych nam przyczyn dotąd nie wyszedł z pod prasy. Toż skwapliwie wzięliśmy do rąk wyżej zatytułowaną książkę p. Rychlickiego, spodziewając się w tejże znaleść wierny wizerunek tej tak pięknej i szlachetnej postaci.

Autor, dziś już starzec ośmdziesiąttrzyletni, podrastającem był pacholęciem w epoce bitwy pod Racławicami. Wzrósł i wychował się wśród niezatartych jeszcze wrażeń bohaterskich czynów Kościuszki, wśród ciekawych opowiadań, niejednokrotnie słyszanych z ust swych stryjów: Antoniego i Józefa Rychlickich, którzy obydwaj do ostatniej chwili walczyli przy boku wodza. Rozkołysana żołnierskiemi gawędami fantazya młodzieńca, zrodziła w nim myśl odtworzenia tej szlachetnej postaci, ku czemu zachęcił go jeszcze stryj Antoni, były namiestnik brygady kawaleryi narodowej, oddając mu do użytku wszystkie swe papiery, odnoszące się do czasów Kościuszki.

I oto początek dzieła, o którem właśnie pomówić zamierzamy.

Autor umiał wybornie uchwycić i uwydatnić każdą piękną stroną czystego, jak kryształ charakteru Kościuszki. Szczegóły z życia czerpane jużto z jego dawniejszych biografów, jużto z opowiadań starych wiarusów, towarzyszów broni, splotły powabną tkankę, na tle której występuje postać Naczelnika jasna, w całej swej treści.

Gdyby autor był na tem poprzestał, nic byśmy mu nie mieli do zarzucenia. Byłby wzbogacił literaturę naszą pięknie napisaną monografią, którą zaprawdę miejscami trudno odczytać bez głębokiego rozrzewnienia; jego praca byłaby świeżym listkiem wawrzynu u skroni rycerza wolności. Lecz nie tak się stało. Autor nie zupełnie obliczywszy się z własnemi siłami, usiłuje częstokroć w długich rozwlekłych dyssertacyach skreślić nam przebieg współczesnych wypadków na arenie dyplomacyi i polityki, a tu wydaje nieraz w kwestyach wielkiej wagi sąd bardzo pobieżny, zasłaniając zręcznie użytym sofizmatem brak gruntowniejszego zbadania faktów. Podobne bardzo często w tok opowiadania wplecione zboczenia dla swej płytkości, dzieła nazwanego wcale nie stawiają na wysokości badań historyczno-krytycznych, do których książka p. Rychlickiego pretensyi mieć nie może, a psują tylko harmonię całości. To samo dałoby się powiedzieć o mnóstwie luźnych, bardzo ciekawych i z popiołów zapomnienia starannie odgrzebanych faktów, lecz bynajmniej do rzeczy nie należących a gwałtem wtłoczonych w ramy opowiadania.

Kościuszko-bohater znalazł w p. Rychlickim biografa, który go pojął gorącem sercem ale nie zupełnie

może wniknął w myśl jego. Wiele już dotąd słyszeliśmy o jego bohaterstwie, o jego cnotach, lecz mało nam są znane jego dążenia, jego przekonania polityczne, a przecież on w roku 1794 jako najwyższy Naczelnik trzymał w swym ręku wszystkie słabe nici rokowań dyplomatycznych a równocześnie silną ujął dłonią ster całej administracyi wojskowej i cywilnej. Nikt dotąd nie ocenił z fachową ścisłością jego działań strategicznych. Kościuszko-wódz, Kościuszko-polityk czeka jeszcze sądu wobec trybunału historyi.

Uwagi, które nam się tu nasunęły, nie czynią najmniejszej ujmy dziełu p. Rychlickigo, nie myślimy bowiem sięgać po za zakres, jaki sobie sam autor zaznaczył, owszem jak najserdeczniej możemy je zalecić publiczności. Niektóre epizody, jak np. bitwa Maciejowicka, jest tam opowiedziana z taką prawdą, z taką werwą młodzieńczą, że czytelnik czuje się jak gdyby przeniesiony między szeregi walczących, śledzi za najdrobniejszymi ruchami nieprzyjaciela i wraz z wodzem upada pod brzemieniem fatalizmu. Ta prostota w opowiadaniu, ta synowska miłość, z jaką autor usiluje najdrobniejszy rys charakteru Kościuszki w najpiękniejszem postawić świetle, sprawia, że życzylibyśmy sobie widzieć tę książkę jak najczęściej w rękach młodzieży, dla której ona będzie skarbnicą cnót obywatelskich, tak świetnie przez Kościuszkę reprezentowanych. *S.*

Z estetyki i z życia przez Wł. Łozińskiego. Lwów. Nakład Seifaartha i Czajkowskiego. Str. 215. 8-vo. 1872.

Jest pewna zasadnicza, głęboka różnica w patrzeniu na życie i naturę pomiędzy wiekiem naszym a całą drużyną ubiegłych. Zmysły, owo wyłączne narzędzie obserwacyi w świecie starożytnym i helleńsko-klasycznym, poszły w służbę innej siły, która przedziera się co prędzej przez zewnętrzną tkankę formy, aby dotrzeć snadnie do istoty rzeczy uwięzionej w zmysłowym kształcie — do idei. Forma postradała swój wyłączny interes — wiek nasz się uduchownił tak dalece, że straciliśmy nawet poczucie formy, ową tkliwość zmysłowych momentów duszy na to, co podpada wprost pod obserwacyę zmysłów. W gonitwie za duchową rdzenią wszelkiego kształtu, łożymy mało baczenia na sam kształt i ztąd to rodzi się w pewnych umysłach skeptycyzm estetyczny, twierdzący, że nie mamy już w duszy poczucia piękna, bo życie nasze — to życie form i stosunków towarzyskich — pozbawione jest znamion głębszej tkliwości na formy estetyczne, bo nie lubimy malowniczości ani fantazyi we wszystkiem, co nas otacza i dokąd te pierwiastki estetyczne — malowniczość i fantazyę — moglibyśmy wnieść sami. Ubieramy się brzydko, mieszkamy w „szufladkach,“ jak to złośliwie i typowo nazwał Vischer, zacieramy piętna charakterystyczne i żywy koloryt każdej rzeczy. Doprawdy da się na papier przelać wiele sentymentalnych aforyzmów o tem zniknięciu form pięknych z życia i zagubieniu wytwornego smaku dawnych czasów, z których nam zostały Partenon i Kolosseum, głowa Jowisza i grupa Laokoona, kościół św. Marka i Alhambra... W takiej tęsknocie romantycznej tkwi wiele poezyi, ale mało prawdy... Jakto, miałżeby doprawdy smak XIX. wieku być mniej estetycznym, jak dawniej?... tkliwość na piękno mniej dziś powszechną, mniej głęboką?... miałby doprawdy smak dawniejszy więcej znamion wytwornych i właściwej poetyczności?.. Sądzimy, że nie... Jakkolwiek w sferze piękna potężną rolę odgrywa kształt i malowniczość jego linii, to mimo to jest ono zawsze ideą duszy, a więc tkwią w nim przeważnie żywioły duchowe. Można mieć piękną duszę i szczere poczucie estetyczne a mimo to estetyczność przenosić z formy — w ideę. I tak uczyniła nasza epoka. Każda myśl, w której tkwi pierwiastek piękna, znajduje głębokie echo w duszy dzisiejszego społeczeństwa, jakkolwiek nie dajemy form malowniczych jego życiu, właśnie dla tego, że ta malowniczość zewnętrznego kształtu nie wyczerpuje istoty piękna, będąc tylko jednym z jego składowych czynników. Jeżeli chodzi o zmysł dekoracyjny, to jest on rzeczywiście w naszej epoce mniej rozwiniętym, jak w czasach, kiedy budowano cerkwie bizantyńskie; jeżeli chodzi o zmysł dla plastyki, to jest on mniej rozwiniętym, jak w epoce rzeźby greckiej; ale jeżeli chodzi o zmysł estetyczny w najwyższem jego znaczeniu dopatrujący się w każdym objawie zewnętrznym echa duchowej piękności, odblysku idei pięknej — to wiek XIX. jest najestetyczniejszym. Dopiero dzisiaj wszystko, co ma w sobie jakikolwiek pierwiastek piękna, jakiekolwiek znamię wytwornego smaku, podoba się ogólnie. Dla excentrycznej rozrywki wprawdzie słuchamy czasom aryetki Offenbacha, ale nie zapominajmy o wielkich zasługach tego „brzydkiego“ grzesznika, jakim chcą mieć wiek XIX... Bo i któryżto wiek wygrzebał z kroniki czasów Szekspira, który wiek rozgłosił sławę Danta i Calderona aż do strzechy wieśniaczej?... który płaci tysiącami za kredkę Ruysdaela i szkice Michała Anioła?... który czas wygrzał na swojem łonie piękną myśl Winkelmana i we wzniosłej prostocie sztuki greckiej uznał zbliżenie do ideału?... który to czas wreszcie wydał Mozarta i Beethovena, jaki czas wydał Goetego, którego dusza sama była najidealniejszem sprzężeniem natury ze sztuką?... Wszystko to uczynił w pierwszej swojej połowie wiek XIX. a przyznacie, że takiego gwałtownego zwrotu umysłów na polu estetycznej wrażliwości nie ma w ostatnich czasach, aby można twierdzić, że w ostatniem np. dwudziestoleciu zagubione zostało doszczętnie owo zrozumienie estetyczności. Jeżeli formy naszego życia towarzyskiego przedstawiają mniej barwy i fantazyi, to tylko dowodzi, że przedarliśmy się przez formę do idei, że zrozumieliśmy najgłębszy szept ducha w dziedzinie piękna, bo m y ś l p i ę k n ą. Jeżeli wiek Periklesa i Leonarda da Vinci był bardziej pierwotnie twórczym, to estetyczność naszego jest więcej kontemplacyjną, ale nie mniej czułą. Ów skeptycyzm estetyczny nie jest wadą książki p. L., ale stanowi jej treść i cechę, dlatego uważaliśmy za obowiązek w obec prawdy podnieść ten zdaniem naszem zasadniczy paradoks w sądzie p. L., ażeby równocześnie zawtórzyć jego szlachetnym tendencyom, gdy mówi o potrzebie kształcenia delikatnego smaku w społeczeństwie, o potrzebie żywiołów idealnych w życiu, kiedy nas wzywa abyśmy przeniknęli jego formy estetycznością i n a ś w i a t p a t r z y l i p i ę k n ą d u s z ą. Wskazanie na często w życiu spotykany trywializm form i upodobań, na płaskość konwersacyi salonowej, na skrępowanie konwencyonalizmem wszelkiej oryginalnej wyrazistości charakteru, jest myślą bardzo płodną i szlachetną a ona jest nicią przewodnią p. L. W tem leży wysoka cena jego książki. O wiele słabszą jej stroną jest za to usiłowanie przeprowadzenia paraleli pomiędzy naszym wiekiem a ubiegłymi pod względem obyczajów i charakterystyki społecznego życia na tle tej instytucyi towarzyskiej, którą nazywa „kwiatem“ pożycia ludzkiego — na tle s a l o n u. Tu zabrakło p. L. głębszego obeznania się z historyą obyczajową tak naszego, jak innych narodów i dlatego w charakterystyce różnych czasów zamknąć się musiał w sferze utartych komunałów, bez oparcia ich na gruntowniejszej historycznej podstawie. Stan obyczajowy każdej epoki jest wypływem tych wszystkich czynników, z których się tworzą dzieje i w nich to znaleść można jedynie dostateczne wskazówki na scharakteryzowanie każdego rysu społecznej fizyognomii. A szkoda, że ta część książki p. L. jest słabo opra-

*

cowaną, bo taki temat, wysnucia obyczajowej charakterystyki i każdorazowego smaku z czynników historycznych życia byłby bardzo wdzięcznym. Dlatego to „historya“ salonów u p. Ł. nie wskazuje nigdzie, w czemto się właściwie objawił ten bez wątpienia rozległy ich wpływ cywilizacyjny na ruch umysłowy każdego czasu i idealne jego objawy tj. na literaturę i sztukę. Przypomnieć nam, że w tym a tym salonie pili herbatkę ci a ci poeci i uczeni, to doprawdy za mało... Jeżeli była jaka łączność psychologiczna pomiędzy prądami umysłowymi a salonem w hotelu Rambouillet, Racheli Levin, pani Scudery lub Récamier, to należało wykazać gruntowniej to oddziaływanie a przedmiot zyskałby wiele interesu, książka wiele wartości. Teraz w niej brakuje rozsnucia tych wszystkich delikatnych nitek, które wiązały życie z ideami czasów a wizerunek obyczajowy jest połowicznym, zewnętrznym... Jakkolwiek więc ta część i to najznaczniejsza książki p. Ł. ma tylko wartość kronikarskiego przypomnienia a nie literackiego studyum, to zawsze jego dziełko przyniesie bardzo wiele pożytku, jeżeli piękne czytelniczki nie poprzestaną na odczytaniu miłych kartek, ale pomyślą nad przeniesieniem w codzienne życie ideałów p. Ł.

Z.

KORESPONDENCYE.

Kraków w Styczniu.

(Słowo wstępne. — Przegląd sił. — Właściwości krakowskie. — Braki i zasoby.)

Ogólny głos i wola w całej Polsce odezwały się za tem, iżby rok bieżący był rokiem skupienia, opamiętania i wejścia w siebie w celu nadania żywszego prądu wszelkim pracom ku odrodzeniu społeczeństwa i wzmożeniu sił dążącym. Równocześnie ze smutnym jubileuszem upadku Polski zobaczyliśmy obraz podobny do naszych klęsk i upokorzeń, jako skutki próżnego junactwa, łekkomyślności i zepsucia, we Francyi. Zaprawdę trudno o silniejsze memento, jak to, dane nam przez współczesną historyę. Opamiętanie zatem, świadome i dojrzałe ocknięcie się, nie będzie odtąd, można tuszyć, frazesem, ale stanie się ciałem, rozpocznie się praca rolnika wszędzie, gdzie gleba zaniedbaną była lub za długo ugorowała. Powinno więc przebudzić się i piśmiennictwo, które od kilku lat, wyjąwszy jedną Warszawę, w dziwną zaczęło popadać niemoc. Jest to bez wątpienia skutek ogólnego rozstroju i apatycznego niesmaku, w które społeczeństwo nasze peryodycznie zapada; lecz piśmiennictwo powinno pierwsze, jako sięgające głębin narodowego ducha, ocknąć się i na społeczeństwo oddziałać. Niechajże *Świt* pomaga tu, jako może.

Siły u nas są, pracownicy są, niebrak i mistrzów, przecież niesporo nam idzie, a jeżeli gdzie to w Krakowie nad symptomem tym zastanawiać się można i należy. Nie sięgając już po za epokę r. 1863, ale przed kilku łaty zdawało się, że miasto grobów poczyna się ożywiać; obok ruchu w innych sferach przybyły dwa ogniska dla potrzeb umysłowych: literacko-beletrystyczne czasopismo *Kalina* i towarzystwo literacko-artystyczne z trzema oddziałami dla literatury, malarstwa, rzeźby i muzyki. Po dwóch już latach jednak zniknęły, pozostało tylko, co przedtem było. Nasuwa się więc pozornie słuszna uwaga, że nie było tam warunków żywotnych, że nie odpowiadały one potrzebom istotnym. Lecz o żywotności instytucyj stanowią ludzie — otóż wszyscy niemal ludzie którzy tam byli czynni, odznaczają się w różnych zakresach umysłowej pracy. Co zaś do potrzeby, to w świecie tym literatury i sztuki codziennie i powszechne słyszymy utyskiwania na brak organu, na brak łączności i skupienia, oraz żal, że nieutrzymano tego, co już było w zawiązku, gdy to co jest, widocznie jest niedostatecznem.

Instytucye i ogniska, których mamy wiele, nie oddziaływują na społeczeństwo miasta naszego i kraju w tym stopniu, jakby mogły i powinny, być może dlatego, że ich jest wiele, a każda zamknięta w sobie, odosobniona, każda ograniczona na pewną część tylko społeczeństwa. Są zapewne i inne jeszcze tego przyczyny, o których nieraz mówić mi wypadnie — lecz niemniej wszystkie one w swoim zakresie pożytecznie działają, jak to krótki ich przegląd okaże.

Jako piastuny nauk ściślejszych wymienić najpierw wypada Towarzystwo naukowe, lekarskie i należące do obu siły przez Uniwersytet dostarczane. Towarzystwo naukowe gromadzące zbiory i bibliotekę, podejmujące poważne wydawnictwa dokumentów historycznych, ogłaszające w rocznikach, zalegających niestety półki, prace umiejętne, miało zawsze to zadanie, które na szerszy rozmiar przyszłej Akademii ma przypaść, uprawę teoryi nauki dla nauki; z potrzebami więc bieżącemi niewiele ma łączności. Pozostawała po za niem, bez łącznika, cała masa pracowników umysłowych, a tem bardziej odosobnione na wysokości stanowisko zajmie ono jako Akademia. Towarzystwo lekarskie okazuje dosyć żywotności na swoich posiedzeniach, a przecież swego pisma, *Przegląd lekarski*, niezdołało zabezpieczyć, aż go pp. dr. Janikowski i Lutostański wzięli od nowego roku pod swój kierunek i na własną odpowiedzialność. Tutaj miejsce wspomnieć, że pomimo oddziału przyrodniczego w Towarzystwie naukowem i pomimo Towarzystwa lekarskiego umiejętności przyrodnicze w szerszym zakresie nie mają u nas reprezentantów. Cała nowoczesna filozofia oparta na wynikach badań przyrodniczych, jest polem zaniedbanem, i pomimo, że wielu liczy zwolenników, nie pamiętam, żeby rozbiór kwestyj przez tę filozofią wnoszonych był kiedy w tych towarzystwach przedmiotem obrad ludzi kompetentnych. W tej mierze Kraków wygląda, jakby się bał zajrzeć w oczy pozytywizmowi i materyalizmowi, unikając z nimi walki — na broń naukową.

Dla literatury i poezyi polskiej w stolicy Polski nie ma organu, a dzienniki polityczne ani chcą, ani mogą pełnić tej służby.

Dla sztuk pięknych mamy kilka ognisk: Szkoła sztuk pięknych, Towarzystwo sztuk pięknych, Teatr, Muza. Szkoła krakowska ma już swoją świetną tradycyę, wydała i wydaje znakomitych artystów, ma zdolnych profesorów — lecz mimo to niema właściwego i własnego charakteru, niema jednolitości kierunku, który nadać może tylko ster genialnego, oryginalnego artysty. Pojawiła się też w zeszłym roku myśl oddania dyrekcyi honorowej Janowi Matejce — lecz nie wiem, jaki los tego projektu. Towarzystwo sztuk pięknych uczyniło chwalebny krok naprzód przez otworzenie wystawy nieustającej obrazów — mimo to zaczyna się rozprzęgać; liczba akcyonaryuszów się zmniejsza a wystawy coraz jałowsze. Powody są tego liczne: pierworodny grzech Towarzystwa, statut nepotyczny, oddający ster jednej sferze ludzi, którzy się sami uzupełniają bez udziału artystów i akcyonaryuszów, w skutek czego wzrasta niezadowolenie, a celniejsi artyści, jak Matejko, Gryglewski, Kotsis, Jabłoński, Cynk, Towarzystwo opuścili i prac swoich od roku na wystawę krakowską nie dają. Na sumieniu Dyrekcyi leży również odrzucenie porozumienia się do wspólnej pracy z Tow.-

rzystwem lwowskiem, pomimo że delegaci pp. Juliusz Starkel i hr. Borkowski wszelkie czynili ustępstwa. Jeżeli Towarzystwo nie zreformuje się — pocznie już tylko wegetować i wywoła powstanie innego. Oddział muzyczny szkoły sztuk pięknych mało daje znaków życia na zewnątrz — trudno więc sądzić o pracy jego i kierunku artystycznym.

Takie stosunki literatury i sztuki u nas uczynią wam zrozumiałem przytoczone na początku ogólne utyskiwanie na brak skupienia i organu. Ale idźmy dalej.

Teatr, jedynem jest miejscem publicznem wspólnej zabawy dla Krakowa. Dyrekcya hr. Skorupki miała swój peryod świetny, potem zaniedbanie; obecnie p. Koźmian czyni usiłowania ku naprawie i podźwignięciu. Siły sceniczne są liczne i wyborowe, repertoar znacznie ulepszony (Fredro, Szillera „Śmierć Wallensteina," „Hamlet," Mickiewicza „Konfederaci Barscy") publiczność każdym razem napełnia teatr, mamy stały konkurs dramatyczny, powołano komitet literacki niby „beirat" Dyrekcyi dla oceny sztuk oryginalnych, wychodzi organ teatralny — lecz i tu krakowskie grzechy szkodzą dobrej sprawie. Dyrekcya nawykła do nieobecności w Krakowie wszelkiej opozycyi, lekceważy każde zdanie krytyczne i pomiata „aktorami," o których wyższości nad krakowskimi śmie ktoś słowo powiedzieć; za tem idą nieporozumienia literackie i artystyczne—słowem jakby rozmyślnie dążono do tego, ażeby rozbić wszelkie skupienie sił, zakłócać wszelką harmonię.

„Muza," towarzystwo muzyczne z małych początków, rozwija się bardzo pomyślnie; koncerty, stałe produkcye miesięczne, przedstawianie operetek, systematyczna nauka młodych adeptów — świadczą o niem chlubnie. Lecz cóż powiecie na to, że oprócz rodzin członków na wieczory towarzystwa przybywa zaledwie kilka osób za płatnymi biletami? a większa część ludności ani wie, czy żyje w Krakowie jaka „Muza." Czemu tak jest? Będziemy o tem nieraz mówili z zupełną otwartością.

Dzisiaj powiem tylko o dalszych naszych zasobach. Na uwagę zasługuje Nowe Muzeum techniczno-przemysłowe, a w nim kursa dla kobiet wszelkich nauk i osobny kurs handlowy, w niedzielę zaś dwa bezpłatne odczyty. Jest to ucieczka dla rodzin z innych ziem polskich tu się osiedlających — a krakowskie panie, czy tego nie potrzebują? boję się wyrokować.

Towarzystwo pedagogiczne rozbudza po raz pierwszy w Galicyi stan nauczycielski.

A cóż dopiero gdybym chciał wyliczać ludzi, którzy sami i z swojemi pracowniami stanowiliby gdzieindziej punkt środkowy ożywionego ruchu jak np. Matejko i cała plejada artystów, Wincenty Pol, czynny bibliotekarz dr. Estreicher, niezmordowany wydawca Nowolecki, dyrektor Muzeum Baraniecki, Mieczysław Pawlikowski, Asnyk, Bałucki, Belcikowski?... A przecież w Krakowie trafić do tych ludzi trudno, oni sami prawie się nie widują ze sobą. Ale widzicie, że w Krakowie jest w czem zaczerpnąć—a danie wyrazu każdej potrzebie, pracy i postępowi wśród tych sił rozlicznych, będzie przedmiotem moich listów. Kiedy nie mamy tu własnego organu, potrzeba żeby nas *Świt* łączył swoimi promieniami. *Asz.*

PRZEGLĄD TEATRALNY.

(*„Pracowici próżniacy,"* komedya w trzech aktach Michała Bałuckiego. — Benefis panny Deryng.)

Najnowsza komedya p. B. osnuwa się na tle najbardziej żywotnej dziś dla społeczeństwa kwestyi, wskazując i ostrzem bezwzględnej, chociaż pogodnej satyry ośmieszając chorobę moralną, która od lat kilku wyczerpuje zdrowie społeczności. Zanim jakiekolwiek nowo stworzone hasło przyjmie się w myślącym ogóle, przejść musi krytyczną dla siebie fazę, w której tkwi na wszystkich ustach, jest przedmiotem powszechnego uznania i apoteozy a nie realizuje się faktami codziennego życia. Są to okresy emfatycznego krzykactwa otulania się we wspaniałą draperyę idei i poprzestawania na słowach — są to chwile pełne właściwego sobie komizmu, będące bogatą skarbnicą dla satyry obyczajowej. Trwożyć się takimi objawami nie należy — naturalną logiką rzeczy od formy społeczeństwo zawsze przejdzie do istoty. Gdy się nam już znudzi krzyczeć: pracujmy! zaczniemy pracować. P. B., którego talentu właściwą jest cechą ujęcie zawsze przedmiotu żywotnego do komedyi i podłożenie pod zewnętrzną igraszkę wesołych sytuacyi głębszego tła myśli, w „Pracowitych próżniakach" odmalował takie właśnie społeczeństwo przejściowe, które już poczuło, że pracować należy, wstydzi się przyznać sobie, że próżnuje, ale w gruncie rzeczy do jakiegoś czasu.. jeszcze — jeszcze pozwala sobie nic nie robić!.. Z takich gamoniów idei wyrobią się kiedyś narzędzia pracy, ale dotychczas są pasożytami. Intrygę komedyi osnuł p. B. na bardzo mozajkowem tle mnogich a różnolitych charakterów, których wspólnem jest piętnem jedynie owo wewnętrzne przeświadczenie, że prowadzą życie gorączkowej pracy, kiedy właściwie próżnują. Nikt tu nie spełnia obowiązków swej pozycyi w społeczeństwie, dlatego, że nie rozumie ich natury, oddawszy się na posługi tysiącznych interesików, mających pozory płodnego zajęcia a będących szeregiem błahostek. Przyznacie, że temat wdzięczny i bogaty w żywioły szczerze komiczne a łatwo pojąć, że p. B., który umie tak zręcznie w kreśleniu charakterów komicznych zatrzymać się zawsze na pochyłości wiodącej do karykatury, musiał i tu stworzyć postacie typowe i pełne naturalnych znamion. Mimo to jednak, że każdy charakter tej komedyi nosi świeże piętno życia a kompozycya ich promieni dowcipem i właściwem ujęciem tła psychicznego, przecież wielobarwna ta mozajka osnuwa się w biegu rzeczy jakąś mgłą, zacierającą przejrzystość rysunku i charakterystyczną plastykę kształtów. Wadą „Pracowitych próżniaków" jest oryginalna (to prawda)!, ale łamiąca warunki jedności myśli „extrawagancya akcyi." Pełnia życia drgającego w tej komedyi wylewa się po za miarę ruchu dozwolonego prawidłowością estetyki; w tem rozpasaniu się akcyi ginie symetryczność obrazu, jasność układu, wewnętrzna konieczność pewnych zawikłań, które przestają wówczas być niezbędnym wyrazem istoty psychicznej działających osób a są tylko arabeskami przyklejonymi zewnętrznie do charakterów. P. B. w „Pracowitych próżniakach" widocznie pragnął być twórcą nowej formy a rozminął się ze starem a zdrowem prawidłem wszelkiej kompozycyi dramatycznej. W sztuce życie spromienia się zawsze w kilku wyrazistych, jak rzeźba, sytuacyach, rzucających swoją prostotą pełną siły widok na całą duszę postaci; ku pewnym jej momentom skierowane jest całe światło i one to wysuwają się po nad tło działania, w nich kulminuje dyalog, w nich znajduje charakter swą głębokość psychiczną i najsilniejszy wyraz swej istoty. W życiu tak się nie dzieje — życie rzeczywistości zanadto jest roz-

pryśniętem a komedya p. B. nad miarę właśnie wkracza w to życie — realizm tu za silny, a tem samem pozbawiony jedności myśli i kulminacyjnego szczytu akcyi. Brak tu owej syntezy estetycznej tak w działaniu, jak w charakterach, która wnosi do sztuki pierwiastek kojarzący, idealny. Z takiego Arystofanowego rozproszenia ruchu dramatycznego na tysiące zbędnych szczegółów wypływa zarówno brak wybitniejszych chwil w działaniu, okuzujących w skupionej pelni przewodnią myśl intrygi, jak i pewna konwencyonalna pobieżność w nakreśleniu samych postaci, które nie mają pola do całkowitego wyrażenia się. A w sztuce ważniejszą potęgą jest zawsze charakter, niżeli akcya; bo w charakterze tkwi prawda ludzka, pewien żywioł etyczny lub filozoficzny, gdy każda akcya, (jeźli nie jest historyą!) bywa tylko zmyśleniem fantazyi, powabną dekoracyą, źwierciadłem dla odbicia duchowej strony działających osób. Postacie Saturnina, Lola, Prezesowicza, Doktora są silne, typowe, w swych konturach wyborne a jednak brak im organicznego rozwinięcia. Za to kobiety są tu wszystkie z wyjątkiem Radczyni umieszczone w jakiemś niewyraźnem półprzeźroczu, tak iż nie podobna wysnuć sobie pewnego wyobrażenia o ich naturze, patrząc na nie z punktu widzenia tak etycznego, jak dramatycznego. Dziwne to bardzo, że malatura tych postaci nie powiodła się panu B., który w swych powieściach dał nam szereg najwdzięczniejszych typów niewieścich o rzadkiej wyrazistości i poezyi.

Po za tymi brakami jest komedya p. B. pełną szczęśliwie uchwyconych rysów obyczajowych i tryskającego dowcipu, pod którego maską kryje się zawsze myśl głębsza i żywotna a w rzucanych z lekka satyrycznych aforyzmach zawiera się bystre studyum patologiczne naszego społeczeństwa. Naszem zdaniem uważać należy p. B. za komedyopisarza po Fredrze ojcu najdowcipniejszego a po Korzeniowskim za najwięcej myślącego.

Przedstawienie tej komedyi na scenie naszej zaciera wiele żywiołu typowego w postaciach i nie wychodzi po za granice konwencyonalności z wyjątkiem p. Natorskiego (Doktor) i pani Linkowskiej (Radczyni). Pierwszy wyzyskal wszystkie strony komiczne roli, rozwinął bogaty zasób szczerego a przytem delikatnego humoru i stworzył postać miłą, żyjącą na wskróś, prawdziwą do głębi. Pani L. była nieocenioną przenosząc na scenę z mistrzowską wiernością typ zawsze spotykany w życiu a nigdy się nie starzejący kobiety oddanej gorączkowo grze intryg, komerażów i plotek, żyjącej przy pozorach rygoryzmu obyczajowego kosztem dobrej sławy bliźnich. —

Dla przyjaciół prawdziwej sztuki zbliża się przyjemna chwila, w której będą mogli złożyć hold talentowi i pracy młodziutkiej a najsympatyczniejszej naszej artystki panny Deryng, na której benefis d. 7. b. m. przedstawionym będzie 5-aktowy dramat hr. H. Łączyńskiego: „Renegat.“ Publiczność zna pannę D. patrząc na nią ciągle, ja tylko skorzystam dziś z danej sposobności, ażeby w kilku słowach scharakteryzować ogólnie naturę jej rzadkiego talentu. Co też czyni grę panny D. tak powabną, tak pełną spokojnego a razem do głębi przejmującego uroku? To, mojem zdaniem, że jest ona na wskróś wewnętrzną.

Jestto ta niezwykła u artystów, ale będąca wtedy dla nich pasportem do zdobycia wyżyn, pierwotność uczucia i głębia duchowego wyrazu — i one to czynią grę panny D. nieustającem, bezpośredniem wydzielaniem się duszy, całkowitem uleganiem przyspieszonemu ruchowi własnego serca. Cała istota artystki wchodzi w jej grę jako wszechstronnie ożywiony czynnik — najczystsza jednak subjektywność uczucia nie psuje tu nigdy idealnych cech sztuki. W tem zupełnem przejęciu się, w tym tajemniczym oddźwięku czystej duszy leży powód, dla którego gra panny D. na wskróś porusza nas, zajmuje myśl — ukazując jej prawdę psychologiczną, owlada wyobraźnię i uczucie – będąc wyrazem rzetelnego wdzięku, wywołuje przyjemne zadowolenie — będąc pełną zdrowia, naturalnej swobody i rozumnego umiarkowania, daleką od każdego zewnętrznego tylko efektu. Ludzi sklonnych do usposobień marzycielskich ujmuje tu tkliwa rzewność i poetyczny koloryt, ludzi pozytywnych urok zdrowej natury i pierwotna siła życia. Gra panny D. jest ciągłem odbieraniem wrażeń i ich uwydatnianiem, przez co nas wprowadza w samą prawdę życia, tylko oczyszczoną z trywializmu, pogodną, jak sfera ideału. Taką bywa panna D. w rolach tragicznych Joanny Talbot, Luizy Müller... Postacie jej naiwne tchną również miękką słodyczą i duchowością wyrazu.. Wdzięk jest czystością duszy a ta znowu jest naiwnością; dlatego zawsze naiwność musi być wdzięczną i tem bywa piękniejsza, im bardziej zaczepia o duszę. Rozumie tę tajemnicę sztuki całkowicie panna D. Nie iedalizuje ona z wiedzą swych postaci, przelewa w nie owszem najczystszą naturalność i prostotę, a mimo to przesiąknięte są one kolorytem na wskróś idealnym, bo też poezya płynie zawsze z prostoty i czystości serca, ze stanu więc duszy, który najlepiej pojmuje panna D. W chwilach jednak wzburzonej namiętności czuć u niej jeszcze pewien brak wystudyowania wszystkich odcieni psychicznych, a w ożywionym potoku mowy brak plastyki słowa, wiążącej ze sobą wyrazy przeźroczyście i wybitnie. Tu potrzebuje jeszcze panna D. wykształcić w sobie siłę panowania nad porywami bezpośredniego uczucia, bo w tym spokoju tragicznym, unoszącym się po nad burzę wewnętrzną serca, leży najwyższa harmonia sztuki. Sądzimy, że w dniu benefisu panny D. cała publiczność zgromadzi się chętnie w teatrze, ażeby poprzeć szczere usiłowania skromnej a tak utalentowanej artystki.

Bronisław Zawadzki.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Rozpoczynając w łamach *Świtu* stałą kronikę lwowskiego ruchu muzycznego poprzedzimy szereg bieżących sprawozdań krótką uwagą wstępną. Zamierzamy w rozbiorach naszych przenosić się zawsze na pole krytyki rozleglejszej i oceniając programy artystyczne koncertów przypominać stale czytelnikom stanowisko każdego utworu i kompozytora w powszechnym rozwoju muzyki, podawać szerszą charakterystykę ich talentu i wartości, ażeby z czasem te nasze sprawozdania powiązały się w pewną organiczną całość, mającą cechę historycznych pogadanek o muzyce w ogóle.

A teraz przechodzimy wprost do kroniki bieżącej, a mianowicie do szóstego z kolei wieczorku muzykalnego, który jak zwykle odbył się pod kierunkiem dr. K. Mikulego d. 18. Stycznia w sali Zakładu Ossolińskich. Program składał się z następnych numerów: 1) Kwartet smyczkowy Mozarta C-dur. 2) Pieśni Brahmsa (p. B.) 3) Variations sérieuses Mendelssohna (panna

Ost.) 4) Arya z „Niemej“ Aubera (p. B.) 5) Tańce węgierskie Brahmsa (panna R. i Dyr. Mikuli.)

Kwartet Mozarta jest dziełem godnem tak wspaniałego i zarazem wszechstronnego geniuszu.

Na każdem polu muzycznej kompozycyi pozostawił Mozart arcydzieła, których nieuznawanie może być jedynie dowodem bardzo ograniczonego poczucia piękna, przewrotnych wyobrażeń artystycznych lub (co gorzej!) złej woli i zarozumiałości. Muzykę kościelną wzbogacił wielu mszami, nieszporami i sławnem „Requiem“, które do największych arcydzieł w tym zakresie policzyć należy. Symfonie Mozarta, bogatsze myślą i instrumentacyą, szersze formą od Haydenowskich, były wzorami, na których się najpotężniejszy poeta tonów, Beethoven wykształcił. Cóż zresztą powiem o operze, której twórcą w niemieckim stylu był Mozart? Powiedziano o nim: „Jak długo sztuka muzyki trwać będzie, jak długo jej podstawami będą rytm, melodya i harmonia, tak długo „Don Juan“ pierwsze będzie zajmował miejsce w dziedzinie opery.“

Mozart równym jest mistrzem i w utworach o szczuplejszej formie i łatwiejszych efektach w kwartecie, w Trio i kompozycyach solowych. Rzewny, spokojny, pełen uczucia w melodyi, pełen gracyi w przyozdobieniu pierwszy podniósł grę i kompozycyę fortepianową do wyżyn prawdziwej sztuki. Nie ulega wątpliwości, że tam, gdzie się czczość myśli pokrywa bezmyślnymi pasażami, lub jakiemikolwiek efektami, niegodnymi szlachetnego twórcy i poniżającymi sztukę, tam Mozart jako zastarzały, bywa wykreślany z rzędu arcymistrzów. A jednak pytam, czy celem muzyki jest w zadziw wprowadzać zmysły?

Kwartet powyższy wykonany był prócz małych ustępów menuetu wzorowo, cieniowany bardzo subtelnie; przeprowadzenie pojedynczych myśli na każdym instrumencie było jasne i czyste, Andante wiało prawdziwem ciepłem, Allegro tryskało gorącem życiem, a trudności leżące w podwójnych pasażach 1szych i 2gich skrzypiec pokonano zupełnie.

Pieśni Brahmsa wdzięczne swoją prostotą, pełne rzewnej i uczuciowej melodyi, o wcale oryginalnych zwrotach harmonicznych, odśpiewał p. B z całą pełnią uczucia, czystą intonacyą i zręcznem cieniowaniem. Temat pieśni G-moll przypomina „Winterlied“ Mendelssohna, którego „Variations sérieuses“ odegrała pna Ost. Między utworami fortepianowymi Mendelssohna, jest to jeden z najmniej wdzięcznych utworów.

Najwyższą w obec muzyki zasługę położył Mendelssohn swojemi oratoryami: „Eliasz“ i „Paweł.“ Na wzorach Händla i Bacha wykształcony, umiał on połączyć kościelną powagę, z zastosowaniem nowych na polu instrumentacyi wynalazków i to mu też zjednało jedno z najpierwszych miejsc w nowszej kompozycyi kościelnej.

Dzieła jego wokalne z towarzyszeniem orkiestry, jako to: „Sen nocy letniej“ i inne, uwertury orkiestralne do „Ruy-Blasa“, do „Pięknej Meluzyny“ itd. po oratoryach pierwsze zajmują miejsce. Psalmy i pieśni jego wcieliły się w lud niemiecki i mało kto bywa w Niemczech równie jemu uwielbianym. Fortepian wzbogacił on nową formą kompozycyi: „pieśniami bez słów.“ Czem w poezyi jest „księga pieśni“ Heinego, tem w muzyce są Mendelssohna „pieśni bez słów.“ Inne utwory pomijamy, wracając do odegranych na koncercie „Waracyi“, potrzebujących przy bogactwie swej charakterystyki nietylko biegłości rąk, ale muzykalnie wykształconej i czującej głęboko duszy wykonawcy. Tym jednak wysokim trudnościom artystycznym niezupełnie odpowiedziała panna O. Wiele pilnej i mozolnej pracy można było poznać w jej grze, ale tem mniej duszy i ciepła.

Kończąc rzecz o dziełach Mendelssohna, których jedyną ciemną stroną jest gorączkowy niepokój tworzenia podnieść chcemy jeszcze jego zasługi około rozszerzenia smaku muzycznego w Lipsku, przez założenie tamże w r. 1843 konserwatoryum i urządzanie historycznych koncertów o programie zawsze doborowym.

Po Waryacyach Mendelssohna odspiewał pan B. znaną a zawsze świeżą aryę z „Niemej“, za którą publiczność rzęsistymi obdarzyła go oklaskami; zaś panna P. i dyrektor Mikuli odegrali na zakończenie „Węgierskie tańce“ Brahmsa.

Brahms należy bezsprzecznie do najznakomitszych kompozytorów dzisiejszej doby; był on uczniem i przyjacielem Schumanna, i o nim to Schumann wyrzekł, że stanie się Messyaszem muzyki. Wspaniała to misya; nie na drodze jednak węgierskich tańców Brahms ją wypełnia, dla tego też, mówiąc o nich, nie dotykam już więcej misyi. Powierzchowna brawura i chwytanie grubych zmysłowych efektów, jest dziś cechą wielu płytkich kompozytorów. Brahms do niej nie należy; czasem napotykamy w jego utworach zwroty nienaturalne i nazbyt wyszukane, nawet w nich jednak nie czuć owej bezmyślnej napuszystości, dostrzega się tam jedynie dążność do znalezienia nowych form, nowych wyrażeń harmonicznych. Dosyć często je Brahms znajduje — nie zawsze z równem szczęściem.

Węgierskie jego tańce pochodzą częścią z wpływu niemieckich pieśniarzy na kierunek jego talentu, częścią z przyjaźni łączącej go z Joachimem. Jest w nich opracowanie mistrzowskie, ale widać zarazem, że nie to pole właściwej pracy dla Brahmsa.

Odegrane były z życiem i werwą, znakomicie rytmizowane, artystycznie, czysto, spiewnie, charakterystycznie, po węgiersku, to dziko — to marząco.

Na siódmym wieczorku (25. Stycznia) słyszeliśmy utwór niemieckiej kompozytorki Fanny Haensel (siostry Mendelssohna). Trio to opracowane pięknie i zajmująco, w motywach spiewne, w efektach fortepianowych wdzięczne, w zwrotach harmonicznych i ich zastosowaniu czasami nazbyt excentryczne — ma wiele cennych zalet — tylko nie ma piętna oryginalnej twórczości. Panna S. pokryła braki kompozycyi przez grę śmiałą, pełną energii, siły i spiewności, wspierana dobremi chęciami pp. Bruckmana i Wollmana, które jednak nie zawsze pomyślnymi wieńczyły się skutkami.

Pan C. odspiewał dwie pieśni Moniuszki: „Kukułkę“ i „Wędrowną ptaszynę.“ w której autor zdaje się przypomniał sobie w części fortepianowej „Forelle“ Szuberta, ale mu nie dorównał.

„Impromptu“ tegoż Szuberta odegrała panna D. z mniejszem powodzeniem jak dawniej „Serenadę“ Rebera.

Pieśni Fr. br. Romaszkana: „Czy ciebie kocham?“ i „Ach! gibt es den kein Vöglein mehr?“ są utworami młodego a bardzo utalentowanego kompozytora. Pierwsza z nich pełna melodyi, druga bogata harmonią, obie mają wiele szlachetnej werwy i delikatnego ciepła. Czuć w nich wpływy Schumana, ale i poznać zarazem prawdziwy samorodny talent, któremu życzymy gorąco ciągłego postępu i nie zrażania się ani mozołami pracy ani temi walkami wewnętrznemi, o których mówi poeta:

„Wierz mi! łzy płyną w tem artystów niebie,
„Melodya cicha jest odgłosem grzmotu,
„Co bije w sercu.
I któż pojmie Ciebie?“

W panu C. znalazły te pieśni wysoko muzykalnie wykształconego, lecz niedość łagodnego wykonawcę. P. C.

jest spiewakiem zawsze pożądanym w utworach zbiorowych i w pewnym rodzaju solowych, wolnym od wszelkiej przesady, czułostkowości i atakowania każdego tonu z osobna na wzór spiewaków nowej szkoły włoskiej — jednak za szorstkim w kierowaniu głosem.

Po wykonaniu pieśni na zakończenie wykonaną była „Sonata Onslowa“ bardzo nierównemi siłami, a jednak kto wie, czy połączenie tych sił nie było koniecznem? Wątpię bowiem, czyby kto inny oprócz p. Mikulego mógł był skończyć Sonatę, przy rażącej nierytmiczności i słabem poczuciu taktu u egzekutorki części wiolinowej.

Prawdzic.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

FILOZOFIA. *Dzieje filozofii prawa i państwa przedstawione na tle dziejów cywilizacji, napisał dr. Wł. Deisenberg.* Zeszyt 1. Kraków 1872. Nastąpi rozbiór.

ESTETYKA I LITERATURA. *Aesthetik als Philosophie des Schönen und der Kunst von Dr. Max Schasler.* Berlin 1871. Dotąd wyszedł tom I. obejmujący krytyczną historyę estetyki od Platona aż do czasów najnowszych.

— *Le Beau dans la nature et dans les arts par P. Gaborit.* 2 tomy. Paryż 1871. Pierwszy tom określa piękno w naturze, drugi bada jego pojawy w różnych sferach sztuki.

— *Kunstgeschichte des Alterthums von dr. Fr. Reber.* Lipsk 1871. Z szczególnem uwzględnieniem architektury i budownictwa; dział plastyki i malarstwa natomiast z mniejszą troskliwością opracowany. Dzieło wyposażone 250 pięknymi drzeworytami.

POEZYA. *Polne kwiatki. Kraków 1871.* Zbiorek poezyi sędziwego lekarza i b. rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, Brodowicza. Pomniejsze utwory tchnące prostotą i spokojem; wiele bystrej ale pogodnej satyry.

— *Poezyi El...y* pojawi się wkrótce drugie wydanie w Krakowie.

— *Szare ptaszę, poezye A. Urbańskiego.* Lwów. Vogel 1871. Kilka wierszyków ne smętną nutę wyśpiewanych ma wiele szlachetnego uczucia, wiele jednak motywów nazbyt poziomych. Nie radzimy poecie hołdować fałszywemu skeptycyzmowi.

— *Odgłosy z gór*, poezye Felicyana. Warszawa. Gebethner i Wolf 1871. Poetyczne reminiscencye wycieczki do Tatr, łączące z niejasnością kompozycyi wiele jędrnej siły w obrazowaniu i głębokie poczucie natury.

— *Antoniusz i Kleopatra*, tragedya w 5 aktach W. Szekspira, przekład Krystyna hr. Ostrowskiego. Paryż. Lacroix 1872.

— *Poesie polacche* di Teofilo Lenartowicz, przekład Hektora Mazucci. Florencya 1871.

— Mikołaj Gerbel, pisarz moskiewski wydał w Petersburgu cenne dzieło „*Poezye Słowian.*“ Są tu dokładne życiorysy wszystkich ważniejszych poetów słowiańskich wraz z przekładem ich utworów.

POWIESCI I PAMIĘTNIKI. *Bożek milion*, powieść p. Waleryi Marenne (Morzkowskiej), Warszawa 1872.

— *Wilkońska P. z L. Wspomnienia moje o życiu towarzyskiem w Warszawie.* Poznań 1872. Opowiadanie pełne wdzięku i zajmujących epizodów.

— *Plotki i prawdy.* Kraków 1872. Wyborne i pełne prawdziwego humoru studyum satyryczne galicyjskiego społeczeństwa.

— *Pamiętniki włóczęgi* z czasów przejścia XVIII. i XIX. stulecia, napisał Piotr Jan Bykowski Tomów 4. Warszawa 1872.

— *Pamiętniki J. U. Niemcewicza* po raz pierwszy z autografów wydane. Obejmują wypadki między r. 1809—1820. Tomów 2. Poznań 1872.

— *Memoires du prince Pierre Dolgorukow.* Publies après de la mort de l'auteur par un Russe. Tome II. Genève 1871. Obejmują czasy panowania carowych Anny i Elżbiety, historyę spisku Golowkina, dzieje Bestużewa, pamiętniki Birena o Sybirze, charakterystykę Katarzyny II. i jej głośniejszych faworytów.

HISTORYA. *Bolesław Chrobry* napisał A. Mosbach. Poznań 1871. Tenże autor wydaje obecnie w drodze przedpłaty dzieło historyczne: „Początki unii lubelskiej.“

— *Bezkrólowie po Zygmuncie Auguście i elekcya króla Henryka* przez Tad. Pilińskiego. Kraków 1872.

— (*Iter florianense.*) O psałterzu floryańskim łacińsko-polsko-niemieckim, w szczególności o polskim jego dziale p. W. Nehringa. J. K. Żupański. Poznań 1871. Prostując przebrzmiałe zdanie Stan. hr. Borkowskiego dowodzi, że tz. psałterz królowej Małgorzaty był własnością Maryi, siostry królowej Jadwigi a córki Ludwika węgierskiego.

— *Grundriss einer allg. Kulturgeschichte der neuesten Zeit.* J. J. Honegger. Świeżo wyszedł tom III. i IV. tego znakomitego dzieła, opierającego historyografię na badaniu obyczajów, piśmiennictwa, życia społecznego i domowego ludów.

— *Johannes Hus u. König Sigmund von Dr. W. Berger.* Augsburg 1871.

— *Jul. Favre* wydaje obecnie w Paryżu dzieło: „*O rządzie 4. Września*“; tenże mąż stanu zamierza wkrótce rozpocząć na sanie: „Historyi Komuny.“

— *Beiträge zur Beantwortung der Frage nach der Nationalität des Nicolaus Copernik von R(ömer).* Breslau. Priebatsch 8vo 1872. W przyszłym numerze powiemy o tem dziele obszerniej.

— *La science pendant le siège de Paris* par M. Ernest Saint-Edme. Paris Dentu 1871.

NAUKI SPOŁECZNE. *Przegląd krytyczny teoryi zarobku* przez dr. fil. Strassburgera. Warszawa 1872.

— *Arbeit u. Kapital von Dr. F. Bitzer.* Ein Beitrag zum Verständnisse der Arbeitfrage. Stuttgart 1871.

PEDAGOGIA. *Die Frage über Trennung* der Schule von der Kirche nach den Prinzipien beurtheilt von Ernst Katzer. Pirna 1872.

NAUKI PRZYRODNICZE. *Historya roślin* Ludwika Figuier, dzieło ozdobione 415 wizerunkami z natury wykonanymi, przełożył z francuzkiego, objaśnił i licznemi dodatkami powiększył autor: „Flory polskiej.“ Warszawa. 3 tomy 1872.

TEATR I SZTUKI PIĘKNE. W piątek (dnia 26go zesz. mies.) wystąpił pierwszy raz na scenie naszej pan *Lech Nowakowski*, były dyrektor teatru poznańskiego w swych rolach brawurowych Champignaca („Motylomania“ Sardou) i Szczoteczki („Junacy“), powitany sympatycznie przez publiczność.—W *teatrze poznańskim* przedstawiono dnia 10go z. m. z powodzeniem tragedyę Słowackiego „Beatrix Cenci“ a d. 24. t. m. Szekspira „Romea i Julię.“ Przygotowują zaś „Hamleta.“ — W *teatrze krakowskim* przedstawiona będzie wkrótce najnowsza komedya Al. Dumasa, syna, „Princesse Georges“ w przekładzie p. Błydowskiego i dramat Józefa Weilena: „Hrabia Horn.“ — W *Warszawie* przygotowują nową operę 1-aktową St. Moniuszki: „Beata“ i komedyę oryginalną Zyg. Sarneckiego „Bezinteresowni“, jako pierwszą część trylogii, po której nastąpią „Kalecy“ i „Umarli. — Panna *Wanda Schwarzer* z Warszawy została angażowaną na sezon karnawałowy w teatrze della Fenice w Wenecyi. — D. 15. z. m. przedstawiono w paryzkim teatrze *Gaité* nową feryę J. Offenbacha z librettem W. Sardou „Le Roi Carotte“; d. 16. b. m. zaś w *Opera Comique* tegoż kompozytora „Fantasio“ ze słowami podług Alfreda de Musset. — P. *Karol Blanc* w Paryżu urządza muzeum kopii wszystkich arcydzieł pędzla rozproszonych po galeryach europejskich. — Znany rzeźbiarz warszawski p. *Syrewicz* wykonał wzorowo popiersie Fr. Chopina z marmuru kararyjskiego.

— Bawi obecnie w naszem mieście młody artysta z Warszawy p. *Stanisław Wardzyński*, i dał się słyszeć w kilku tutejszych salonach, wygłaszając monologi dramatyczne, jak Bogumiła Aspisa „Pijak“, sceny Gustawa z „Dziadów“ itd. Głębokie zrozumienie i odczucie połączone z niezwykłym ogniem i pierwotną siłą są cennymi przymiotami jego talentu.

— *Die grossen Pianoforte-Virtuosen unserer Zeit aus persöhnlicher Bekanntschaft von Lenz.* Berlin 1872. Zwracamy uwagę na to dziełko, obejmujące ciekawe życiorysy znakomitych pianistów bieżącej chwili: Liszta, Chopina, Tausiga, Hänselta i innych.

ROZMAITOSCI. Sędziwy poeta *Seweryn Goszczyński* w bieżącym miesiącu przesiedla się z Paryża na stały pobyt do Lwowa.

— *Pomnik dla śp. Juliana Bartoszewicza*, rzeźbiony przez p. Pruszyńskiego w tych dniach odkrytym został w Warszawie.

— W *Collége de France* otrzymali: p. Kleczkowski, b. sekretarz ambasady franc. w Chinach katedrę języka chińskiego a p. Kazimirski, tłumacz Koranu, katedrę języka arabskiego.

— D. 21. Stycznia zmarł we Wiedniu poeta *Franciszek Grillparzer* w 81 roku życiu.

Od redakcyi. W przyszłym numerze *Świtu* rozpoczniemy szereg dwutygodniowych pogadanek w przedmiotach bieżących p. t. **„Promyki.“**

Wydawcy: Romuald Starkel i Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedz. Zyg. Ulanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.